



60

Thomson

ZABOBON,

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

ZABAWKA DRAMATYCZNA

ze śpiewkami

w trzech aktach,

przez

JANA NEPOMUCENA KAMINSKIEGO.

BIBLIOTEKA UNIWERSALNA

ARCYDZIEŁ POLSKICH I OBCYCH.

*Wydawca Karolina z Pihauerów
w Warszawie.*

Wydawca Adam Kaczurba.

TARNÓW.

DRUKIEM JÓZEFA PISZA.

1881.



88362

OSOBY:

Pan Pysznicki.

Ekonom.

Bartłomiej, młynarz.

Dorota, żona jego.

Basia, córka młynarza z pierwszego małżeństwa.

Zosia, przyjaciółka Basi.

Wawrzyniec, furman.

Stach, syn jego.

Jonek, przyjaciel Stacha.

Bryndus.

Morgal.

Świstos.

Kwicołap.

Miechodmucha, organista.

Pastuch.

Bardos, student z Krakowa.

Krakowiaczy, Krakowianki.

Górale i Góralki.

Scena w Mogile, wiosce pod Krakowem.

A K T I.

Teatr przedstawia wieś, mającą po obu stronach rzędem chaty; w głębi Wisłę, za którą widać w odległości Kraków. Z jednej strony stoi młyn z drugiej karczma. Na przodzie po lewej wzgórek, po prawej siedzenie z darni
Dwie krypy u brzegu).

SCENA I.

Basia, Zosia i Druchny, (które siedzą na darni i splatają wieńce).

Ś p i e w.

Basia (stoi przy pagórku).

Mówże, Zosiu, niech się nie biedzę!

Zosia (na pagórku, patrzy na Wisłę).

Cóż ci powiem, gdy nic nie widzę.

Basia.

Patrzaj jeno Zosiu miła,
Patrzaj tędy, gdzie mogiła;
Dyćto już wieczorna pora,
A ich jescze nie ma z dwora.
Jeżli mam ci wyznać scerze,
Mnie jakowaś bojaźń bierze.

Zosia.

Nie dręc-ze się bez przycyny,
Wsak dziś twoje zaręcyny;
Moze skończywszy ugodę

Pošli odwiedzić gospodę,
 Aby wej jednym zachodem
 Troskę zakropić się miodem.
 Ale cicho! — od Krakusa
 Kieby łabędź coś się rusa.

Basia.

Ach! to może będą oni!

Zofia (zaglądając).

Stąd obacyć słońce broni. —
 Teraz widzę doskonale,
 Jak wiosłami porzą fale,
 I choć wiatr jest na przeszkodzie,
 Staną tutaj o zachodzie.

Basia (bieży ku Wiśle wykrzykując).

Moje życie! mój Stasienko!

Zosia (schodzi z pagórka).

Płynie z ojcem prościusięńko.

Basia (ściskając Zosię).

Co za radość i rozkose!

Zosia (śmiejąc się).

Jeno mię nie uduś, proszę.

Basia (z uniesieniem).

O! jak słodkie jest kochanie!
 Jakże miło z oblubieńcem!

Druchny.

Niechże on się mężem stanie,
 Pozalujes za twym wieńcem.

Basia.

Mój Stasięńko nie zna zmiany,
 Za to jego serce ręcy!

Druchny.

Jednak bywa, ze kochany
 Srogo nas po ślubie dręcy.

Basia i Zosia.

Tam, gdzie miłość idzie w swaty,
 Gdzie do ślubu wiedzie cnota,

Wierność zawsze strzeże chaty,
A przed zdradą zamknie wrota.
Lec gdzie tego nie ma stroza,
Gdzie w kochaniu przymus cynią,
Tam przebywa kara boza,
Tam niezgoda gospodynią.

Zosia.

Na tę prawdę bynajmniej nie zważa macocha,
Która ojca twojego ani kęs nie kocha.
I cóż mu to pomaga, że jest cłek bogaty,
Kiedy go zła zonecka codzien goni z chaty,
A sama za chłopcami, jak cap za kapustą.
Nie wiem, cy w świecie znajdzie kobietę tak pustą!
Wsak i twojego Stasia wiodła na pokusy.

Basia.

Juz mię ona z tój strony teraz ani rusy.

Zosia.

Oj! nie wierzę ja temu; kobiéta, jak ona,
Skoro się raz zaślepi, chodzi jak salona.
Wcoraj, kiedyś ze Stachem bawiła się zmrokiem,
Widziałam, jak was krzywem przesywała okiem,
I jakies tajne septy miała z Góralami.
Chciałam ich wej podsłuchać, kiedy byli sami,
Ale mię na zasadzce spostrzegły niecnoty.

Basia.

Fraską dla mnie są wszystkie wybiegi Doroty;
To mię tylko, Zosieńku, udreca nie mało,
Cyli się im we dworze scęśliwie udało?
Wiés, jaki nas Wokomon zawzięty bestyja,
Jak on ludzi ciemięzy, męcy i zabija;
Niéma dnia, by nam ucuć nie dał swojej mocy
Za to, że mu tatulo prawdę mówi w ocy;
A nuz, jeżeli się uprze, pozwolenia nie da?
Ach, moze mię, Zosieńku, ceka nowa biéda!

Zosia.

Chociazby i tak było, ja się tém nie strasę;

Nie dadzą Krakowiacy dmuchać sobie w kasę.
 Spuść się tylko na ojca i twego Stasiénka...
 Ale oto przezacna idzie matuleńka.
 Daruj, Basiu, lec moja nie cierpi jej dusa,
 A bardziej jesce tego zuchwalca Bryndusa.
 Cy wam było potrzeba sprasać tę hołotę?

Basia.

Cynić dobrze swym wrogom znacy polską cnotę.
 Ojciec, chcąc raz na zawse skończyć z nimi sprawę,
 Nie puścił ich, i prosił dzisiaj na zabawę.
 Moze prędzój odjadą, gdy podpiją nieco.

Zosia.

Gdzie sersenie miód zwietrzą, niechętnie odleca.
 Dyć-to trzeci dzień mija, jak po owej kłótni
 U nas tu rozkosują łotrowie wierutni,
 A jechać ani myślą; mnie się zawse roi,
 Ze ich Bartłomiejowa umyślnie tak poi,
 By się dłużej bawili.

Basia.

Moze swawolnica

Do którego z Góralów teraz się zalęca

SCENA II.

Ciż i Dorota z Bryndusem (w rozmowie).

Bryndus.

Ach, jakież-to prześliczne i hoze dziewecki!
 Cóż wy tu porabiacie?

Druchna.

Splatamy wianecki.

Bryndus.

Zapewne na jutrzejszą weselną biesiadę?

Skoda, ze ja do domu z grochowym odjadę!
 Tak-to ze mnie Basiénka zadrwiła niezmiernie!
 Chociazem ją lubował i scérze i wiernie!

Basia (z gniewem)...

Kiedy się juz raz stało, cóz pomogą skargi?
 Dyc tu dziewcząt jest dosyc, mozna zacać targi.

Dorota (zlosliwie).

Takiemu, jak pan Bryndus, o zone nie trudno.
 (do splatających wieńce).

Cego się tak spiesycie z tą robotą nudną?
 Jesce mogą powiędnąć, do jutra daleko.

Zosia (do Basi).

Widzis, jak ją wianuski w ocy mocno pieką.

Bryndus.

I dlacegoz-to Stacha przeniosłaś nademnie?

Basia.

Dlatego, ze go kocham, a on mnie wzajemnie.

Bryndus (chętliwie).

Przecie ja go w dostatkach przesadzę przez nogę!

Basia (z pogardą).

Bądź sobie i ze złota, kochać cię nie mogę.

Bryndus.

Byłabyś u mnie miała wygody rozliczne:
 I cienkie kosulecki, i sukmany ślicne,
 Krasne wstążki na kiermas, i drogie korale,
 Słowem: ja się przed tobą ani krzty nie chwale,
 Lec pływałabyś w scęściu jak piéróg w śmietanie!

Zosia (na stronie).

A kiedyz się ten drągal wychwalać przestanie?

Bryndus.

Widzis we mnie chłopaka i z mięsa i z piérza,
 Który wprawdzie nie nosi sytego kołnierza,
 Nie wycina w podkówki, ani trzaska z bica,
 Bo takie chłopskie rzeczy nie są dla panica!

Ale za to bogaty, ślicny, kiedy lala:
Oj! Basiu, pozalujes, gdy stracis Górala.

Ś p i e w.

Bryndus.

Jeszcze twoją wołą
Żyć w nędzy z biedakiem?

Basia.

Smacny chleb i z solą,
Gdy jém go z rodakiem.
Skarby bez miłości
Nie mają ponęty;
Gdzie niema wolności,
Za nic dyjamenty.

Bryndus.

Miłość przy goźlinie
Zbyt prędko umiéra.

Basia.

Miło żyć w ojczyźnie,
Choć biéda doskwiera;
Kto się w obcą ziemię
Za mąż iść nie zraza,
Zmniejsza swoje plemię,
A cudze rozmnaża.

Bryndus.

Złośliwej dziewczynie
Wszystko złém się zdawa.

Basia.

Pomnij, żeś w goście:nie:
Sanujze jej prawa!
Nie zacynaj wojny,
Niech cię nie dmie pycha:
Albo bądź spokojny,
Albo idź do licha!

Bryndus.

Przyjdzie już czas taki,
Poznas zemstę naszą!

Basia.

Nie drżą Krakowiaki,
Choć ich wrogi strasą.
Znajdą się w przyrodzie
Cepy albo rydle;
Wolno w swym ogrodzie
Wybić skodne bydło.

Bryndus (na stronie).

Juz mię trawi zemsta sroga,
Wnet wybuchnie gniew stłumiony:
Niechno na nią spadnie trwoga,
Pozna, kto był obrazony!

Basia (na stronie)

Twój ponęty, ziemio droga!
Mieć nie mogą obce strony;
Chata ojców, choć uboga,
Jest-to skarb nie oceniony!

Basia (do Bryndusa).

Słuchaj! nie waz się mówić do mnie takich rzeczy!

Zosia (cicho do Basi).

Daj pokój, niech wilk wyje; już on nie skalecy.

Dorota.

I z kądeś tak wyprawněj dostała gębuli?
Córce należy milceć.

Zosia (na stronie).

A saleć matuli.

Basia.

Cemuz on mego Stasia nazywa biédakiem?
Który chociaż łąarów nie mierzy przetakiem,

Przecież tyle dobytku wziął od ojca w darze,
(z podrzeźnianiem).

Ze nie chodzi za bydłem grywać na fujarze.

Dorota (grożąc).

Przestańże górno latać, bo ci utnę skrzydła!

Basia.

Dlaczegoż on mię w nowe chce zamotać sidła?
Jeżeli im tu nie miło, niechaj sobie jada;
My się groźby nie boim, pogardzamy zdradą.
Wstańcie, lube dziewczęta, pójdziwa do młyna.
(odchodzi z druchnami).

Zosia (z przekąsem).

Może Pan Bryndus nowe zaloty pocyna?
Byłoby to niegrzecznie stać mu na przeszkodzie,
Zwłaszcza kiedy z Dorotą chce się przejść po chłodzie.
Znać go pali w serdusku, ze odjeżdża z nicem;
Tak to bywa, kiej duda robi się panicem.
(odchodzi).

SCENA III.

Bryndus, Dorota.

Bryndus.

Te dziewczuchy, jak widzę, zarty sobie stroją!

Dorota.

Nie gryź się, jesse dzisiaj będzie Baśka twoją.
Mając już Wokomona w tej sprawie po sobie,
Mozes być pewnym swego, a resztę ja zrobię.

Bryndus (ostrożnie i z cicha).

Azebym go nakłonił do moich zamiarów,
Wyjąłem na zadatek dwadzieścia talarów.
Z początku wasy kręcił i ani mię słuchał;

Lec skoro gros obaczył, w lot się udobruchał,
Przesedł się po komnacie, bąknął słówek kilka,
Ocy mu się świeciły, jak w nocy u wilka;
Nareście wziął mamonę i przystał na zdradę.

Dorota.

Mnie-to mas podziękować za tę mądrą radę.

Bryndus.

Strzeżcie się, by słówecko przebąknąć o znowie,
A jak ja Baškę porwę, ulzycie swęj głowie,
(uśmiechając się).

I mozećcie się ścisnąć ze Stachem do woli.

Dorota *(żałośnie).*

Nie wiem, cy się ten konik ugłaskać pozwoli!...
Cuję ja to, ze moje myśli przeniewierce;
Lec cóz ja temu winna, ze miękkie mam serce;
Myślałam, ze się z casem ulecę z choroby;
Daremnie! cas ją zwięksa od doby do doby!
Skoro Baškę ze Stachem gdzie zocę we dwoje,
Zaraz mię w sercu piknie, jak na śpilkach stoję.

Bryndus.

Mnie takze jakaś wtencas bierze oskomina,
Lec nie wiem, cy to miłość, cy zemsty przycyna.
(słychać krzyk pijanych Góralów).

Oto nadchodzą z karemy i nasi Górale;
Musą mieć dobrze w cubku, bo krzyczą zuchwale.

Dorota.

Ja pójdę, bo niedługo przyplynie mój stary;
Gdyby mię tu przydybał, gotów zacząć swary.

Bryndus-

Ale, ale, Doroto! jesse chwilka mała!
Powiedźcie, cy daleko jest stąd Smoca Skała?

Dorota.

A tobie na co wiedzieć?

Bryndus.

Wokomon nastawał,
Abym tam był wieczorem.

Dorota.

Jest stąd drogi kawał;
Ale strzeż się Bryndusie, bo tam niebezpiecznie!

Bryndus.

Coż robić? kiedy kazał, trzeba być koniecznie.

Dorota.

Do Smocój Skały?... Boże! krew się we mnie studzi!
Znajcie, że ten smocysko pozéra i ludzi.

Bryndus (*żartobliwie*).

Nic nam złego nie zrobi, niech was to nie troska.

Dorota.

Strzeż się! jego się boi cała nasa wioska.

Bryndus.

I kędycz jest to miejsce?

Dorota.

Tego nie wiem sama;
Stąd o ćwierć mili w lesie ma być wielka jama,
Otóż tam się pod skałą dotąd jeszcze chowa.
Spłoszono go przed laty z samego Krakowa;
Różne nam breweryje robi to strasydło,
To wej za ludźmi goni, to zajada bydło;
Lec teraz spokojniejse jest od tego casu,
Jak mu dają barany każdego kiermasu.

Bryndus.

Ten smok u was, jak widzę, drugi worganista,
Który także z każdego kiermasu korzysta.

Dorota.

Wokomon tak doradził; teraz mię puszcajcie.

Bryndus.

Byście się nie zdrzymali, na to pamiętajcie.

Dorota.

Nie psuj sobie tém głowy, nie zmruję ja oka;
Dziś są u nas obzynki, otóż będzie tłoka.
Jak się wszyscy popiją, wtencas przyjdź cichacem,
Porwij Baškę, i w nogi.

Bryndus.

Wkrótce się obacem;
Ja tymczasem troseckę przejdę się ku Wiśle,
Gdzie krypy przygotować zawczasu pomyszę.
(odchodzą na różne strony).

SCENA IV.

Świstos, Morgal, Kwicołap i więcej Góralów.

(Jeden z nich gra na dudzie, a drudzy pływają. Wszyscy są pijano-weseli. Każdy ma siekiérkę w rękę; jeden z nich dzban z miodem).

Śpiewki ochotne.

Świstos.

Bierz, chłopaki!
Cart chodaki,
My hulajmy całą noc!

Wszyscy *(podskakując).*

Hoc, hoc, hoc,

Świstos.

Kto miód pije,
Długo zyje,
I cerwony kieby ówik.

(pije).

Wszyscy *(szczutkując się pod gardło).*

Łyk, łyk, łyk!

Świstos *(zuchwale).*

Kto za skrzypkę

Da zacypkę,
Tego zaraz na śmierć męc!

Wszyscy (*uderzając siekiérkami*).

Pęc, pęc, pęc!

Morgal (*tchórzowato*).

Lec gdy który
Palnie z góry,
Mając na nas dawno chrap?

Wszyscy (*śmiejąc się*).

Wtencas, zuchu,
Co mas duchu,
Zaraz w nogi żywo drap!

Morgal.

Oj! drap, drap!

(*skacze komicznie jak żuraw, udając uciekającego.*)

Wszyscy (*wesoło*).

Poduś kożę przyjacielu,
Niech zagra dudecka!
Mamy dosyć w głowie chmielu,
Potańcym trosecka.

(*Duda gra; oni tańczą komicznie i stósownie do śpiewu.*)

Kwicołap.

Nuz z węgierska!

Morgal.

Nuz z cygańska!

Świstos.

Teraz jesce trochę z pańska!

SCENA V.

Ciż sami, Bryndus.

(Ta scena gra się żywo i wesoło.)

Wszyscy.

A, otóż i nas Bryndus!

Świstos.

Cekamy cię dawno.

Morgal.

I ze nie z prózną głową mozes widzieć jawno.

Kwicołap.

Ze cię z nami nie było, skoda niesłychana!

Była tu kompania ślicna i dobrana;

Lec teraz będzie temu ze ctéry godzinki,

Wsystko juz poleciało w pole na obzynki.

Morgal.

Mielisma wej i miodu i wódki dostatek.

Świstos.

Dziwęcąt było, jak nabił!

Morgal.

I ślicnych mężatek!

Kwicołap.

Wsystko było wesoło i w najlepszym guście!

Morgal.

Muzyka rzempoliła, kieby na odpusćcie!

Kwicołap.

Worganiata na basie takze pobrzakiwał;

Prawda, ze się zachłysnął i troseckę kiwał,

Lec za to jego zonka wycinała hopki.

Świstos.

Niéma co mówić, dobrze bawili się chłopki!

Morgal.

Oj! co suta, to suta była dziś biesiada!

Kwicołap.

Lec cóż-to? Bryndus miley, nie do nas nie gada?

Bryndus.

Bo mnie się co innego uwija po głowie.

Świstos.

Ze się czegoś kłopotes, poznać po twej mowie.

Morgal.

Może ci to dogryza, że Stach Baškę bierze?

Świstos.

Jest-to trosecka przykro, chętnie temu wierzę;
Lec któż widział dla fraski zabijać się smutkiem.

Bryndus.

Niemaz mnie to obchodzić, że odjeżdżam dudkiem?

Kwicołap.

Lepiej, że ci przed ślubem ucięła kuranta,
Jak gdyby po weselu przybrawszy jamanta,
Dom twój w nieład puściła, darła cię jak lyko.

Morgal.

Ktośby zjadał śmietanę, a ty kwaśne mleko.
No, nie smuć się, Bryndusie bądź z nami radosny:
Toć i u nas są dziewczki smukłe kieby sosny.

Bryndus (*ostrożnie i z cicha*).

Słuchajcie, przyjaciele, mam dla was rzecz nową.
Mogęz się na was spuścić?

Wszyscy.

Dajema ci słowo!

Świstos.

Ja dla mego bratecka i w ogień polecę!

Morgal (*na stronie*).

Ale ja co nie głupi, bo mię ogień spieczę.

Bryndus (*z odgrazaniem*).

Drogo przyjdzie tym chłopom dzisiejsa hulanka
Jesce im się ze wszystkim nie upiekła grzanka.

Jeżeli mi pomożecie, ukarzem zuchwalce.
Baśka musi być naszą, a Stach sparzy palce.

Świstos (z zadziwieniem).

Cyś osalał Bryndusie?

Kwicołap.

Cy w głowie ci przysło?

Morgal (na stronie.)

Oj! coś mię plecy świérzbią!

Bryndus.

Od was to zawisło.

Świstos i Kwicołap.

Ale jakim sposobem, powiedz-ze nam przecie?

Bryndus.

Co, jak i kiedy? później o tem się dowiecie.

Świstos.

Wsakżeśma się zgodzili?

Kwicołap.

Nowez pocniem burdy?

Morgal (płaczliwie).

A nasez-to przysięgi?

Bryndus (groźno).

Były tylko furdy!

Morgal.

Oj! coś mi się mdło robi!

Bryndus.

To się nie odmieni;

Nie dam sobie porywać od gęby pieceni!

Ś p i e w.

Poprzysięgam na pioruny
Zemstę krwawą, zemstę strasną;
Niechaj we mnie jasne trzasną,
Gdy odjadę niezemscony!
Mamyz cierpieć przyjaciele
Tyle hańby, tyle skody!
Trzeba ich nauczyć wprzody,
Jak-to gwizdać po kościele!

Górale.

Niebezpiecznie ich zadziierać,
Krakowiacy strasne śmiałki;
Gdy nas wezmą pod swe pałki,
Przyjdzie przed casem umierać!

Bryndus (dumnie).

Chociaz oni w boju zuchy,
Toćmy takze zwawe chłopy;
Łapiem w sidła jemieluchy,
Połapiema i te copy!

(chytrze).

Juz ja wszystko tak nastroję,
By to była stuka gracka;
Wpadnę kieby lis znienacka,
Porwę kurcę, choć nie moje.

Morgal.

Alez mówią: kraść nieładnie.

Reszta Góralów.

Kogo krzywdzić rzec bezbozna.

Bryndus.

Ukraść zręcznie zawse mozna;
Bo ten wisi, co źle kradnie!.....
Idźmy bracia na hulanie,
Zabawiajmy się w pokorze;
Strasny wilk w baranięj skorze,
Bo zagryza niespodzianie!

Wszyscy (powtarzają).

Bryndus.

Kogóz nasa psota zdziwi?
Dyć-to przykład jest codzienny:
Mało zyska, kto sumienny.....
W lepsém piérzu niepoczciwi!

Wszyscy (powtarzają).

Morgal (bojaźliwie).

Ale jak nam przypadkiem pośliźnie się noga?

Górale.

Gdy Krakowce postrzegą?

i Górale.

J. Hansej

Bryndus.

Nadaremna trwoga;

Mamy przecie po sobie i pomoc młynarki.

Świstos (z domysłem).

Więc to piwko zapewne pochodzi z jój warki!

Bo widziałem, jak wcoraj gryzła się okrutnie,
I chciała jakieś z Bašką rozpocynać kłótnie.

Bryndus.

Byłebym, sami mówcie, wart choć torbę siecki,
Gdybym do dom powrócił bez mojej Basięcki?
Cyzbym się mógł bez sromu patrzeć także na to,
Jakby mię tam dla śmiechu witano zonato?
Mająz się Krakowiaczy śmiać głośno z Górali,
Ze jak z nicem przybyli, tak téz odjechali?

Wszyscy (wykrzykując raptownie).

Co! z nas śmiać się?

Świstos.

Kto taki? te zajęce duse?

Kwicołap.

Których dziesięciu zginie, kiedy palcem rusę!

Świstos.

Śmiać się z nas, cośma strasne zamieskali góry?

Kwicołap.

Co nam się pod nogami rozbijają chmury?

Morgal.

Co nam tylko nie staje... jesse odrobinę,
A mozema do nieba przystawić drabinę!

Świstos.

I z nas-to śmiać się mają te polne robaki?

Nie, nie dadzą podkówkom brać górę chodaki!

Bryndus (chyttrze).

Gdyby nam się choć bydło ich było zostało...

Kwicołap (smętnie).

Bylibyśma wrócili przecie z jakąś chwałą.

Bryndus.

Ach, pięknez-to bydełko!

Morgal.

Tłuste, jak oblane!

Świstos.

Ja za niém póki życia wzdychać nie przestanę!

Kwicołap.

Co za wypasłe krowy, każda kieby łania!

Morgal (z serdeczném westchnieniem).

A co za slične świnki, do pocałowania!

Bryndus.

I jazbym się nie zemścił, i ja uspokoił,
Bez zony do dom wrócił i sam kozy doił?

Wwzysoy.

Nigdy!

Świstos.

Wprzódę się Tatry zawałą skaliste,
Nizeli darujema te krzywdy wiecyste!

Bryndus.

Choć mię dziewczka i nie chce, będzie korzyść z łupu;
Bo jój w miarę strat moich nie dam bez okupu.
A teraz pójdźma, bracia, do karcmy tymcasem,
Lec strzeżcie się, by który nie bąknął nawiasem.

Świstos.

Ej, niéma tam nikogo, opróc Miechodmucha.

Morgal.

I ten więcój miód łyka, anizeli słuca.

Bryndus.

Dziéwuchom naszym takze ukryć nie zawadzi.

(Muzyka zapowiada przyjście Bardosa).

Lec cicho... kogoś djabeł do nas tu prowadzi.

Świstos.

Oj, co widzę? to skubent, carownik przekłęty!

Bryndus.

Nic on teraz nie wskóra przez swoje wykrety;

Juz ja mu tam we dworze narobiłem licha.

Dał on nam ciemierzycy, teraz niech sam kicha.

Kwicołap.

Lec trzeba się wselako strzedz tego filuta.

Świstos.

By nam nie dał powąchać piekącego druta.

Morgal.

Mam ja coś w mojej głowie; jeżeli mi się uda,
Zjé carta, cy potrafi robić więcéj cuda.

Wszyscy.

(zaglądają w tę stronę, zkad Bardos nadchodzi;
lecz gdy go ujrzeli, uciekają do karczmy.)

SCENA VI.

Bardos (w kapeluszu słomianym z sierpem
i snopkiem słomy na plecach).

Ś p i e w.

Kiedy na świat rzucę okiem,
Cóż się dla mnie tam odsłania?
Widzę, jak się spiesznym krokiem
Człowiek za szczęściem ugania,
Ale ta powabna mara
Zwodzi płochego człowieka;
Gdy się do niej zbliżyć stara,
Zmienia postać i ucieka.

Szczęście zawsze ślepo chodzi,
Ślepo sypie swoje dary:
Jego ręką traf zawodzi,
Lub nic nie da, lub bez miary.
Jednak gdy chcesz być szczęśliwy,
Nie zbywa ci na sposobie:
Kochaj bliźnich, bądź poczciwy,
Znajdziesz szczęście w samym sobie.

By to szczęście wiernie trwało,
Pracuj, a nie trać nadziei!
Mądre Bóstwo wyrok dało:
Wszystko idzie po kolei.
Zmieniają się najgorsze losy,
Przejdzie czas srogiój pokuty;
I ja byłem niegdyś bosi,
Teraz przecie mam już bóty.

Dziś pierwszy raz poznałem pracę włościanina:
Wiem, jak się snopki wiążą i kłos sierpem ścina.
Prawda, że mi to wszystko szło jakoś niesporo:
Pocilem się, gdy przyszło zginać się we czworo,
I nieraz z nateżenia aż mi w krzyżach trzaśło;
Lecz „cierpliwość“, „wytrwanie“ było moje hasło.
Co nas żywi, do tego trzeba się sposobić;
Kto chce jeść chleb, powinien na niego i robić....
Gdyby-to ów Jegomość, co się rodził panem,
I przez dumę pogardza chleborodnym stanem,
Mógł raz uczuć, jak wiele chleb kosztuje potu:
Poznałby, że kmiotkowi, nie marnemu złotu,
Winien wszystkie wygody i wszystkie dostatki;
Wspierałby on poddanych, kochał jak swe dziatki....
Teraz obaczyć trzeba gospodarstwo nowe:
Mam już kilkoro cieląt, jedną dojną krowę,
Niemalą także liczbę jaj, gęsi, prosiątek;
Jak mógł, tak mię obdarzył wieśniak na początek.
Wszystko-to się za czasem, przy pomocy Bożej
Wychowa, wychoduje, w pięcioro pomnoży:
Z cieląt wyrosną byczki, z jaj wyjdą kurczęta:
Słowem, będzie gospodarz z biédnego studenta....
Nie może uczonego hańbić stan poziomy,
Rad przestaje na małym, kto nie jest łakomy!
Wszędzie można ojczyźnie zostać użytecznym,
Czy-to pod wiejską strzechą, czy w mieście stołeczném.

Ten się tylko ma prawo zwać obywatelem,
 U kogo dobro kraju jest najpierwszym celem. —
 Lecz ja tu myślą gonię, nie pomnąc o chacie.

SCENA VII.

Bardos, Jonek

(z sierpem).

Jonek.

Juześ przyszedł, Bardosu?

Bardos.

Przed chwilą, mój bracie!

Jonek (żartobliwie).

No, jakże ci tam dzisiaj smakowała praca?

Ohó! u nas nie można darmo jeść kołaca.

Małom nie pękł ze śmiechu, gdym ujrzał na łanie,

Jakeś siadał i snopy wiązał na kolanie.

Bardos.

Początek zawsze trudny.

Jonek.

Ba, sierp nie jest piórem.

Poczekajno, ja będę twoim profesorem.

Chciałś nam wyćwiconym zrównać całą siłą,

Lec sierp ostry nie pomógł, znałeś kieby piłą.

Któż ci się męczyć kazał?

Bardos.

Ja sam, z dobrej woli.

Jonek.

Lec grzbiet twój?

Bardos.

Mniejsza o to, choć trochę poboli.

Czegóżeś biegł tak prędko? cały jesteś w pocie.

Jonek.

Chcemy sobie zabawkę zrobić po robocie:

Dziś Stacha zaręczyny, otóż biegnę przodem

Do karcmy po muzykę, by jednym zawodem

Panu Bartłomiejowi zrobić tłokę hucną.

Ujrzys ceremoniją i miłą i stucną;
 Wraz tu przyparadują chłopcy i dziewczęta;
 Juz się tam ubierają w sukmany od święta,
 Tylko na mnie cekają. No, do zobacenia.

(chce odejść).

Bardos (zatrzymuje go).

Chciéjże mié wyprowadzić z mego podziwienia:
 Zkąd się u was biedaków bierze ta ochota?
 Tniecie hopki, choć ciężka zgięła was robota.

Jonek.

Dyć wesolość dla zdrowia najlepsza potrawa;
 Cegóz się smucić mamy, cegóz nam nie stawa?
 Ziemia nasem begactwem, karmicielką praca,
 Jedno ziarno wysiejem, dziesięć nam się wraca.
 Nie mając w sercu móla, na sumieniu długu,
 Skacem kiedyśma w karcmie, śpiewamy przy pługu.
 Niechno ci powylązą z głowy miejskie mrówki,
 Naucys ty się także wycinać w podkówki.

Bardos.

Więc ty miasta nie cierpisz?

Jonek.

Kieby wiećcie grzechu:
 Gdy je sobie przypomnę, az pękam ze śmiechu.

Bardos.

I cóż w niém tak śmiészniego, nie możnaby wiedzieć?

Jonek.

Musę ci, com tam widział, cokolwiek powiedzieć.

Ś p i e w k a.

W mieście dziwne obycaje:

Mówią, ze to świat ucony,

Ale mnie się tak wydaje,

Jakby on był świat salony.

Tam nie powie: „Witaj bracie!”

„Sceśś wam Boze!” lub podobnie,

Tylko jak koń nogą skrobnie,

A to znacy: „Jak się macie?”

„Padam do nóg!“ kazdy woła;
 By nie upadł, jest ostrożny,
 Nie jednego kiesień goła,
 Przecie zwią go: „Pan Wielmożny.“
 „Na mój honor! słowo daję!“
 Idzie u nich jak chléb z masłem;
 Co wprzód było zacnych hasłem,
 Tém się zwodzą dziś sachraje.

Wedle wzoru z za granicy,
 W wieczór siedzą przy obiedzie;
 Lalki chodzą po ulicy,
 W łózku leżą blade śledzie.
 Słowem, różne są saleństwa:
 Panny zwą się Marmuzele;
 Za tak marne ceregiele
 Wyrzekają się panieństwa!
 (odchodzi do karczmy).

SCENA VIII.

Bardos (sam).

Prawda, niéma co mówić, obraz dosyć szczéry,
 Tenby chłopak, jak widzę, mógł pisać satyry.....
 Tam do kata! w żołądku coś mi pomrukiwa;
 Jest-to przecuciem godów, albo skutkiem żniwa.
 Różne są na apetyt doktorskie koncepta;
 Lecz mojem zdaniem praca najlepsza recepta.
 Kto się w polu nałamię od samego świtu,
 Ten na wieczerzą pewnie ma dosć apetytu.

(Słychać marsz w karczmie. Po chwili wychodzi Jonek ze skrzypicielami, za nim Górale i Góralki; na końcu Miechodmucha. Cała drużyna idzie przez scenę w tę stronę, z której był pierwój Jonek przyszedł).

Oto już i karczemna muzyka rzempoli.
 Niechaj tu sobie chłopak pobryka do woli,
 My idzmy odpoczywać,

Jonek.

Bardosu, pójdź z nami!

Bard os.

Zaraz ja tam przybiegnę.

Jonek.

Naprzód ze skrzypkami!

Morgal.

Nuze, dudy, ochoco grajcie z niemi razem!

Świstos.

Co Górale umieją, niechaj im pokazem!

(Wszyscy odchodzą w skokach).

Bardos.

Patrz, patrz, jak wyskakują nasi kozodoje.

Lepiej, że z sobą w zgodzie; jest-to dzieło moje!

SCENA IX.

Bardos, Miechodmuch.

(ze sklenicą).

Miechodmuch.

Ej! wiwat! niechaj żyje cała procesyja!

Bardos (żartobliwie).

Pan Miechodmuch, jak widzę, miodek sobie spija,
A jam się chciał założyć, żeście u pszenicy.

Miechodmuch.

Nie — ja sobie siedziałem przy mojej sklenicy.

Bardos.

No, to wygodne życie!

Miechodmuch.

A juźci, mój bracie;

Chłop robi na chleb w polu.....

Bardos (z uśmiechem).

A wy go zjadacie?

Miechodmuch (nasuwając czapkę na bakier).

A juźci tak być musi, to rzecz ocywista;

Dlatego chłop jest chłopem, a ja Worganista!

Bardos.

Ale gdyby tak wszyscy byli gospodarzni,
 Żle byłoby i w karczmie przy pustkach w spiżarni.

Miechodmuchi.

Co? ja miałbym ząć sierpem? to mi się podoba!
 Alboz nie wiés, że jestem kościelna osoba?
 Do tak ciężkiej roboty Pan Bóg stworzył gminy;
 Nas lepszych ustanowił, by brać dziesięciny.
 A potém, sumę śpiéwać, cyliz mała praca?
 Mój-to głos grzésnych chłopów do skruchy nawraca;
 Casem, kiej ich zarliwe usypia kazanie,
 Jak huknę! i bez trąby zrobię zmartwychwstanie.

Bardos.

Daj go katu, to widzę dar niepospolity!

Miechodmuchi.

Stąd poznaj, że mam rozum, zem w ciemię nie bity!
 (głaszcząc go).

Staraj mi się podobać, dostąpis honoru:
 Będzies mi kalikował, wezmę cię do choru.
 Prawda że ci z początku przyjdzie z wielką biędą,
 Nim poznas, wiele wiatru potrzebuje Credo.

Bardos (z uśmiechem).

Wierzę temu.

Miechodmuchi.

A teraz do rzeczy wazniejszej:
 No, będęz miał Bachusa na wiecór dzisiejszy?
 Wszak go zrobić przyrzekłes na Stachowe gody?

Bardos.

Wszystkom już przysposobił, dotrzymam ugody.

Miechodmuchi (wziąwszy się pod boki).

Nie chciéj kostu załować, nie jestem oścędny.
 A jakze Bachus chodził?

Bardos (żartobliwie).

Tak, jak Tuz żołędny.

Miechodmuchi (zdziwiony).

Jak Tuz? pieknieby moja błysnęła figura;
 Stałabym przed gromadą, kieby jaki rura!

Bardos.

Już ja cię tam wystroję, że rzecz będzie warta....

Miechodmuch.

Ba, tylko mię nie przebierz za jakiego carta.

Bardos.

Nie bój się; mam ja czarną, darowaną szatę,
W nią cię ubiorę.

Miechodmuch.

Będąz i gwiazdy pstrokate?

Bardos.

Dam ci kołpak łokciowy i brodę z konopi;
Upewniam, że uciekną, jak cię ujrzą chlōpi.

Miechodmuch. (pełen radości).

Ja dla większėj zabawki udam wilkołaka,
I do dziewcząt znienacka wyskoce z za krzaka.
Pójdźze, pójdź, musę tego obacyć Bachusa,
Bo z samėj ciekawości wyskocy mi dusa.

Bardos (uśmiechając się).

Ha, kiedy tak, więc idźmy.

Miechodmuch.

Stawię na to syję,

Ze się dzisiaj przynajmniej trzy razy upiję!

(odchodzą po za karczmę).

SCENA X.

(Muzyka zapowiada obżynkową drużynę).

Krakowiacy, Górale, Dziewczyna

(z wieńcem na głowie).

(Po każdėj wrotce pływają Krakowiacy z Krakowiankami
swoim, a Górale z Górkami swoim sposobem).

Śpiewki ochotne.

Krakowianki.

Pędzą trzodę z łąk pasterze,
Kwilą juz multanki;
Dajcie, dziewczki, na wiecezję
Chłopcóm mléka w dzbanki!

Krakowiacy.

O dziewczęta nam nie trwoga,
 Będą dla nas hojne;
 Mamy wejcie chwalić Boga,
 Krówki dosyć dojne!

Górale.

Piękne u was są cielicki,
 Tłuste i fertycne;
 Ale za to nase bycki
 Mają rozki ślicne!

Krakowianki (stając przed młynem).

Juz skońcone zniwo w polu,
 Przyjmcie nas do chaty;
 Niesiem wieniec bez kąkolu,
 Przystrojony w kwiaty!

Krakowiacy.

Pan Bartłomiej przyjmie w darze.
 Jeżeli gesto wity;
 Bo-to lubią gospodarze
 Wionek w kłos obfity!

Górale.

Toć i koza, kiej kosmata,
 Lepiej się wydaje,
 I kokosa, kiej cubata,
 Więkse niesie jaje!

Krakowianki.

Wyjdz tu do nas, Basiu miła,
 Proszą o to Druchny,
 By zaś radość więksa była,
 Wynies miód słodziuchny!

Krakowiacy.

Dziś dla ciebie cas ochocy,
 Jutro smutki nowe;
 Płakać będzies twych warkocy,
 Włożą sięć na głowę!

Górale.

Cyliz godna ta zabawka,
 By się łzami rościć?
 Na to rośnie w polu trawka,
 Aby ją wykosić!

S C E N A XI.

Ciż sami, Dorota (wychodzi z młyna) za nią Basia,
 Zosia i Druchny. Dwóch młynarczyków
 (niosą konew, dzban i kufle).

Dorota.

Witam was, dzieci moje, dzięki za robotę,
 Prosimą wszystkich razem do nas na ochotę.

Jonek.

Wprzód jednak, gdy się dzisiaj skończyły obzynki,
 Pani Bartkowa przyjmie wionek od dziewczynki.
 Daje go wam dziewoja, ślicna, urodziwa,
 Młodziuchna, skromna, słowem: niewinność prawdziwa;
 A co niewinność daje, miłe jest każdemu.
 Racciez przyjąć ten datek ku dobru wasemu,
 Abyście nam, gdy przyjdziem do was na zapusty,
 Dali kopę piérogów, kawał spérki tłustej.
 (Mężatki prowadzą dziewczynę z wieńcem przed Dorotę;
 ta go odbiera, i całuje ją w czoło).

Dorota.

Dziękuję wam, dziątekci.

Wawrzyniec.

I my gospodarze,
 Nieśma wedle zwyczaju zycenia w ofiarze....
 Niechaj wam każdy kłosek spore wyda snopki,
 A z każdego wej snopka niech będą półkopki.
 Niech wam się pomnazają w gumnie wielkie stogi,
 Aby gość znalazł uctę, jałmuznę ubogi,
 Aby użył i obcy i sąsiedzi bliscy,
 Tego wam z serca zycym, a to razem wsycy!

Krakowiacy.

Tak, tak, zycyma wsycy!



Dorota.

A teraz, Panowie,
Cém komu służyć mamy, niechaj kazdy powie:
Cy wódecką, cy miodkiem, cyli téz nabiałem?

Jonek.

Po pracy wsytko smacne.

(ogłąda się).

Któz tu biezy cwałem?

Krakowiacy.

A! to nas worganista.

Jonek (śmiejąc się).

Leci, co ma ducha.

SCENA XII.

Ciż sami, Miechodmuch.

Krakowiacy.

A witamy, Panie Miechodmuchu!

Miechodmuch.

Jak się macie, przezacni téj włości mieskańce!

Tu, jak widzę, juz piją, moze były tańce?

A ja się nieboracek spóźniłem trosecka!

Wszyscy (śmiejąc się).

Jest jesce dosyc miodku.

Górale.

I z kminkiem wódecka.

Krakowiacy.

Długo pamiętać będziem dzisiejsze okężne!

Górale.

Wyhasaliśma zwawo panny i zameżne!

Miechodmuch.

Bardzo wierzę, bo dzisiaj nie są zadne fraski,

Pan Bartłomiej chce razem az dwa ubić ptaski:

Okężne, zaręcyny; dwa odpusty znacne!

Więc aby je uświęcić, od miodecku zacnę!

Wiém, ze go tu dostanie.

Dorota.

Prosima Waseci.

Miechodmuch (pijąc kufel po kufłu).

Okężne... zaręcyny... a za zdrowie trzeci!

Tymcasem dosyc będzie.

Jonek (śmiejąc się na stronie).

Nie źle kalikuje.

Miechodmuch.

Teraz cując śmierć w głowie, troskę potańcuję.

Pani Bartłomiejowa jako fundatorka,

Która nie oszczędzała na tę uctę worka,

Zrobi mi tę estymę, oraz to wesele,

Ze pójdzie ze mną w taniec.

(poprawiwszy czapkę na bakier).

Nuze, skrzypiciele!

Sumno mi powaznego zagrajcie Polaka,

Bo ja skakać nie lubię, kieby koza jaka.

(Sunie w taniec, za nim wszyscy w parach
Górale i Krakowiacy).

Ś p i e w k a.

Nuze skrzypce, nuz cymbalki,

Zwawo tniście aż od ucha,

Choć bóty pójdą w kawałki,

Choć połowę stracę brzucha!

Miło tupać o tę ziemię,

Wszakże to jest ziemia nasa:

Tutaj polskie wzrosło plemię,

Tu się rodzi chleb i kasa!

Zyżne są nase zagony;

Nie trzeba w nich wiele dłuwać;

Nawet gdy zleca gawrony,

Mają także co podziubać!

Zawse scodrość, Pańska z nami,

Ta opatrze nas psenicą;

Wyślemy ją galarami

Zywie głodnych za granicą!

Nuz wesoło! nuze żywo!
 Smutek zostawmy dla głupców!
 Wszak obfite mamy zuiwo,
 Nuze zwawo do hołubców! —

(Muzyka ogłasza piasy karczemne. Wszyscy tną
 ogniste hołubce).

Krakowiacy.

Dana, dana! dana, dana!
 Tańemy zwawo az do rana.

Górale.

Hajda, hajda! hajda, hajda!
 Zagraj skrzypko, zagraj gajda!

Miechodmuchi (ledwie sapiąc).

Hasa, hasa! hasa, hasa!
 Kiedyś tłusty, popuść pasa!

Krakowiacy.

Krzeście ognia podkówecki,
 Hop, hop, hop, hop, hop, dziéwecki!

Górale.

Nie tańc-ze tak, jak najęty,
 Hop, hop, hop, hop, hopze w pięty!

Miechodmuchi (zadychany).

Niechajze mię kto zakropi,
 Bo się sadło we mnie stopi!
 (zatacza się; podają mu ławeczkę).

Wawrzyniec.

Niech sobie Pan Miechodmuchi teraz odpoczywa.

Doroła.

Proszę Panów do chaty, bo coś wiatr się zrywa.

Miechodmuchi.

(ciągnąc młynarczyka z kufem do siebie).

Ja tu troszkę posiedzę koło kanafarza.

Wawrzyniec.

Otóż mamy ze Stachem i Pana Młynarza.

SCENA XIII.

Ciż sami, Bartłomiej i Stach.

Wszyscy.

Witajcie!

Basia.

Ach! mój Stasiu!

Stach (na którego twarzy smutek widoczny).

Jak się mas kccchanie!

Jonek (do Basi).

A nie mówiłem tobie, że niebawem stanie?

Miechodmuch (pijąc).

My tu sobie hulamy w wasój niebytności.

Bartłomiej.

Bardzo prosę Waćpana, oraz wszystkich gości
Zabawić się do woli.

Górale.

Będziem pić ochoco!

Basia.

Dobrze, zeście przynajmniej stanęli przed nocą.

(do Stacha).

Cegóz tak marscys coło?

Wawrzyniec.

Cóz ci-to, cłowiece?

Jonek (widząc zdaleka Bardosa).

Przecie się i nas zniwiarz na ochotę wlece.

Basia.

Jakze się wam powiodło?

Stach.

Wnet się dowiés o tem,

Jonek (woła).

Pójdźze do nas, Bardosu!

SCENA XIV.

Ciż sami, Bardos.

Bardos (spoztrzeglşy Bartłomieja i Stacha).

A! czy już z powrotem?

Bartłomiej.

Juz, dzięki Panu Bogu! niema temu chwili.

Bardos.

Aleście się zakaty coś długo bawili;

A nasz Stach jeszcze kwaśny?

Bartłomiej.

Ma biédak zgryzotę!

Bardos.

Jaką?

Basia (trwożliwie).

Ach! cóz usłyszę!

Bartłomiej.

Chcą mu zrobić psotę.

Wokonom nie zezwała na Baški zamęście.

Wszyscy (wykrzykują z zadziwienia).

Nie zezwała?

Górale (dają poznać swoją radość).**Bardos.**

Dla czego?

Basia.

Ach! co za nieszczęście!

Bartłomiej.

Ot zwyczajnie drapieznik, aby ugryzł kogo.

Basia.

To mi życie odbierze!

Bardos.

Nie dręcz się, niebogo,

Wszystko się dobrze skończy.

(do Bartłomieja).

Jakiż powód daje?

Stach.

Sam nie wiedział, co mówić.

Bartłomiej.

Różne plótl nam baje;

Poznać, ze chce wesele umyślnie odwlekać.

Stach.

Kaze nam jesce cegoś dwa tygodnie cekać!

Bryndus (ze złośliwą radością)

Więc dziś widzę z zaręczyn nie będzie nic pono?

Bartłomiej.

Cóż robić? kiedy z Dworu nie jest pozwolono.

Bryndus.

Taką rzecą niemamy cego bawić dłużej;

Popłyniem, póki jesce pogoda nam służy.

Krakowiacy.

Cy można?

Bartłomiej.

Jak-to, dzisiaj?

Bardos.

O tak późnej dobie?

Bryndus.

Tam, za Wisłą, w karcemce prznocujem sobie.

Bartłomiej.

Ale przecie do jutra czekać nie najdalej;

Kto widział w noc się puscać, jesce podczas fali?

Bryndus.

Za godzinkę będziemy juz na tamtój stronie.

Jonek (do Bartłomieja).

Puśéma ich; co ma wisieć, nigdy nie utonie.

Bartłomiej.

Ha, gdy się napiérają Panowie koniecznie,

Gwałtem ich zatrzymywać byłoby niegrzecznie.

Bryndus.

Nuz, dziewczuchy, do krypy! wy chłopcy, do wiosła!

(do Basi).

Darmoś twego Stasićka nade mnie przniosła:

Pojedziema oboje na jednym wózecku.

Zosia (na stronie).

Idź sobie juz do carta, przemądry człowiecku.

Ś p i e w.

Górale.

Porzucamy wase chaty,

Dziękujema za gościnę;

A choć wiele mamy straty,

Zostawiamy wam dziewczynę.
 Ztąd poznajcie, jak Górale
 Krzywd się swoich mscą wspaniale.
 W nase trzeba iść wam ślady,
 Z nas dla siebie brać przykłady.

Krakowiacy.

Zawse w zgodzie Krakowiacy
 Zyją z swymi sąsiadami:
 Nie wydziierać cudzej pracy,
 Jest-to enota nad enotami.
 Kto tę zbrodnię wykonywa,
 Próżno dobrym się nazywa.
 W nase trzeba iść wam ślady,
 Z nas dla siebie brać przykłady.

Górale (chyttrze).

Moze kiedy niespodzianie
 Będzie nase przywitanie.

Krakowiacy.

Wtencas przyjaźń się odnowi;
 Teraz nam bywajcie zdrowi!

Górale.

Bywajcie zdrowi!

Krakowiacy i Bardos.

Bywajcie zdrowi!

(Górale z Góralkami odpływają).

S C E N A XV.

Bardos, Miechodmuch i Krakowiacy.

(Jedni bawią się rozmową, drudzy przechadzają się;
 wszyscy nieco zmartwieni).

Wawrzyniec (po niejakiem milczeniu).

Ktoby się był spodziewał nagle takiej przerwy?

Dorota (kryjąc radość swoją).

Jabym się była umrzeć spodziewała pierwój.

Jonk.

Jutro mieliśmy święcić Stacha weselisko.

Miechodmuch.

(stoi smutny, założywszy na brzuch ręce.)

Jam juz widział przed sobą i pierogi z miską!

Zosia.

Przecie ich raz cart zabrał!

Miechodmucha (nagle ocknąwszy się wykrzykuje).

Tam do paralusa!

A komuz ja pokazę mojego Bachusa?

Dorota (z obłudą).

Daremnie sobie cłowiek narobił expensy.

Miechodmucha (żałośnie narzekając).

Bezbozny wokomonie, nie dać ci dyspensy!

Dorota.

Teraz się wszystko spsuje, jak napój, tak jadło.

Miechodmucha (z apetytem).

Skoda, zeby co z tego daremnie przepadło.

Dorota.

Prawdę mówicie; trzeba schować do komory.

(odchodzi).

Miechodmucha (patrzy za nią osłupiały).

Schować? az na mnie zimne uderzyły mory!

Musę odejść, bo z zalu jesce się rozplącę.

Zycę wam dobrej nocy; dormite in pace.

(odchodzi.)

Bardos (który dotąd z Bartłomiejem, Stachem i Basią rozmawiał).

Ale musiał wam przecie dawać i przyczyny,
Jakiś powód zakazu?

Bartłomiej.

Gadał, jak na. drwiny.

Bardos.

Taką rzeczą Ekonom widzę wam nie sprzyja!

Bartłomiej.

Mówił, ze jutro przyjdzie do nas kommissya!

Od jakiegoś tam — tych dóbr — Jadministratora.

Bardos.

Więc z nim o tém pomówić będzie właśnie pora.

Basia (kłaniając się Bardosowi).

Jezeli nas z téj biedy wyciągnies twą łaską,

Będę cię póki zycia karmić mlécną kaską.

Bardos.

Nie zaniedbam pracować, ile sił, rozumem,
Ażebym was połączył, potem został kunem,
Wreszcie i Ekonoma może tém nakłonię:
Że czysta sprawiedliwość jest na waszój stronie.

Bartłomiej.

Wątpię, bo on na ciebie mocno rozgniewany.

Bardos.

A to za co? wszak dotąd nie jestem mu znany,
Prawdziwie trudno zgadnąć, czegoby chciał u mnie.

Stach.

Juz się tędy uwija; był nie dawno w gumnie.
Słyseliśma, jak krzycał, że konie nie kute.

Wszyscy (nieco z obawą.)

Jeżeli tu przyjdzie.....

Bardós (żartobliwie).

To go — wyzwę na dysputę?

Jonek.

Ale ze tu przyplynał i bawi do ciemna,
To pojąć dla mój głowy będzie rzec daremna.

Bardos.

Z powodu?

Jonek (śmiejąc się).

Macie wiedzieć, że z niego tchórz strasny.

Wawrzyniec.

On się wam w nocy boi nawet cieni własnej.

Bardos (śmiejąc się).

Ztąd poznać, że ma rozum.

Krakowiacy (z przygryzkiem).

I sumienie cyste.

Stach.

Choć w nim dusa zajęca, lec serce skaliste.

Jonek.

A na pieniądz tak chciwy, jak kot na słoninę;
Za glosem dałby sobie wyskubać cuprynę.
Raz mu się uroiło, że tam, gdzie zameysko,
Było Królowej Wandy przed laty siedlisko,
I że tam są pieniądze. Mając z cartem ligę,
Jak zaczął wiercić, kopać.....

Bardos.

I wykopał?

Krakowiacy (śmiejąc się)

Figę!

Wawrzyniec.

Jednak trzeba mu przyznać tęgą mózgownicę:
On-to ze wsi wypłoszył wszystkie carownice.

Jonek (śmiejąc się).

Jak zaczął stare baby pławić pod upustem,
Toć o mało nie zalał dwie za jednym sustem.
Resta wej zobaczywszy, że to nie są drwiny,
Het babska uciekały w nocy przez kominy.

Bardos (śmiejąc się).

Czego-to nie dokaże mądrość tak wysoka!

Wawrzyniec.

On-to nam ułaskawił i nasego smoka!

Ekonom (za sceną).

Pójdźcie za mną, pacholey!

Krakowiacy (z niejakim poruszeniem i trwogą).

Juz go carci niosą!

Bardos.

Niech tylko przyjdzie; trafi, jak o kamień kosą.

SCENA XVI.

Ciż sami, Ekonom i Pacholey.

(Ekonom w kurtce, żupanie i kapeluszu;
z kańczukiem za pasem).

Ekonom

(wszedłszy staje pagle, wzięwszy się pod boki).

A to znowu co znaczy? z kąd to zbiegowisko?
Czy tutaj jarmark macie, czy jakie zjawisko,
Żeście się w jedno miejsce skupili, hultaje?

Jonek (na stronie).

Pewnie mu piątój krokwi w głowie nie dostaje.

(Milczenie).

Ekonom (groźniejszym głosem).

No jakże! czy otworzy dzisiaj gębę który?....
Mówcież, ciemięgi, albo wezmę się do skóry!

Bartłomiej.

Jakież-to Pan Wokonom chce obaczyć dziwa?
Ci ludzie byli dzisiaj u mojego zniwa;
Teraz tedy po pracy sprawiam im wieńcyny.

Ekonom (do Krakowiaków).

Jakto? i wyż-to śmiecie, wy hultajskie syny,
Iść na roboty komuś i odprawiać tłoki.
A gdy Dwór potrzebuje, to was bolą boki?
Ale mnie uwieść trudno; tu są jakieś bunty!

Bardos (żartobliwie na stronie).

Ach, muszę tego osła wyjeździć na funty.

(występując z powagą).

Nie, mój Mości, i owszem miał się począć taniec.

Ekonom (wytrzyzcza na niego oczy).

Któż-to jest? co za jeden?... skąd ten obszarpaniec?

Bardos (na stronie).

Złapałem pierwszy tytuł, lecz nastrójmy minę:

(głośno).

Dominatio vestra loquitur latine?

Ekonom (komicznie zmięszany).

Czy djabła zjadł z łaciną!

Bene, bene; sic, sic.

(na stronie).

Oj! utonę!

(głośno).

Sum ego! — oeconomus! — sum hic!

Bardos.

Rogo te humillime: estne hoc res vera,
Quod irascaris mihi?

Ekonom (jąkając się zawstydzony).

Sic, sic — et caetera!

Ej, co tam; ja nie gadam w wieczór po łacinie;
Ja po polsku do Waści odezwę uczynię:
Co w téj wiosce porabiasz? Zkąd jesteś, bursaku?

Bardos.

Proszę od grzeczniejszego poczynać ataku:
Bo jeżeli w Wać Pana i ja pójdę ślady,
Mogłoby źle wyglądać koło rejterady.

Ekonom (coraz w większym gniewie).

I ty mi jeszcze grozisz? a do sto tysięcy!....

Bartłomiej.

Ze to jest cłek pociwy, kazdy z nas zaręcy.

Wszyscy.

Kazdy, kazdy!

Jonek.

On sobie osiadł tu w Mogile,
A my go wej pokrzywdzić nie damy i tyle!

Ekonom.

A już tego za nadto! wy bez mojej woli
Ważycie się włóczęgę osadzać na roli,
I dawać mu przytułek wbrew prawu wszelkiemu?

Bardos.

Któreż-to prawo wzbrania dać pomoc bliźniemu?
Wszak ustawy krajowe uczą cię, Mospanie:
Ktokolwiek tylko nogą na téj ziemi stanie,
Jest wolnym jój mieszkańcem.

Ekonom zбитy tym dowodem, po małym namysleniu
(nagle się pyta).

Masz Waść attestata?

Któż wie? może-to złodziej, co skradł Deputata,
Za którym rozesłano po wsiach listy gończe.

Bardos.

Ej, proszę nie urażać, bo źle z Nim zakończę!

Basia.

Jak ty śmiés krzywdzić kogo, ty duso złośliwa?

Ekonom.

Co ja słyszę? to ciełę także się odzywa!...

Milcz dziewczko; bo jak raptem mój gniew się rozhuka...

Basia.

Rozumiés, ze się złękę twojego kańcuka?

O wa! co za pan wielki, jak séroko władnie!

Pan, bo pańską psenicę potajemnie kradnie.

Ekonom (w największém uniesieniu, grozi kańczukiem).

Dam ja tu tobie!...

Jonek (zasłaniając Basię).

Waral!

Ekonom (mocno urażony).

Co ty mówisz, chmyzie?

Basia.

Nie mozes prawdy cierpieć, bo cię w ocy gryzie.

Odwaz się podnieść rękę, sprawię ci wiecerzę:

Poznas, jak rozgniewana Krakowianka pierze!

Ekonom (ze złości chwyta się za głowę).

Au! gwałtu! a to widzę same Hajdamaki!

Jonek (na stronie).

Chee nas koniecznie zmusić pójść z nim na kułaki.

Stach.

Ja Wać Panu nie radzę podnieść nawet palca.

Ekonom.

I wy śmiecie ochraniać tego tu zuchwalca?

Poczekajcie! dziś jeszcze pójdzie na rekruta!

Bardos.

Czyliż w tym dla mnie jaka byłaby pokuta?

Krew przelać albo umrzeć za ojczyznę lubą

Nie jest-to żadnym wstydem, lecz największą chlubą.

Kto sobie ma za hańbę ten stan tak ozdobny,

Jest zapewne zły człowiek, Wać Panu podobny.

Ekonom (sunie do Bardosa wzięwszy się pod boki).

A wiesz ty, z kim ty mówisz? znaj uszanowanie!
Zaraz mi zdejm kapelusz!

Bardos.

To próżne żądanie.

Ekonom.

Zdejm zaraz, mówię tobie, bo mi w pięści łechce!
No jakże? czy Waśc zdejmiesz?

Bardos.

Kiedy mi się niechce.

A któż-to Waszeć jesteś? niech się spytać godzi,
Czy Senator, czy ja i Jegomość Dobrodziej?
Wreszcie choćbyś był Panem najpierwszego rzędu,
Kiedy jesteś nieludzki, nie masz u mnie względu.
Kto się z biednych urąga, sam sobą napusza,
Przed tym nigdy nie zdęjmę mego kapelusza.
A potem masz Waśc wiedzieć, że człowiek uczony,
Co pracuje dla kraju dobra lub obrony,
Więcej znaczy, choć biedny, niż pyszne próżniaki;
Tém bardziej, niż ekonom, jeszcze cymbał taki.
Szanujże Waśc uczonych i w lichéj odzieży:
Przedemną-to kapelusz Waści zdjąć należy.
(zrzuca mu kapelusz).

Ekonom (podskoczywszy ze złości).

Dla Boga! co za śmiałość! występpek gardłowy!
Mnie, mnie zrzucac kapelusz, jeszcze urzędowy?!
Hola, pacholki nieście żywo dyby, sznury!
Otwierajcie gęsiory, gotujecie tortury!

Wszyscy (na stronie).

A on widzę osalał!

Ekonom.

Mnie takie zniewagi?

Poczekaj! dziś mi weźmiesz odlwane plagi!

Jonek.

Nie stras Wać Pan tak bardzo plagami swojemi.

Ekonom (przyskakując do Bardosa).

Czy podniesiesz ty dzisiaj mój kapelusz z ziemi?

Bardos.

Nie; nie podniosę.

Ekonom (coraz zapalezywiej).

Ejże, podnieś, mówię tobie!

Bardos (coraz obojętniej)

Nie.

Ekonom.

Nie?

Bardos.

Nie.

Ekonom.

Nie!?

Bardos.

Nie.

Ekonom.

Dobrze;

(po chwili podnosząc kapelusz).

Więc ja to sam zrobię.

(Krakowiacy śmieją się)

Ekonom do pacholków.

Związać tego hultaja i wieść ku dworowi.

(Pacholki robią ruch.)

Bartłomiej.

Proszę Wać Pana, dajże miejsce rozumowi.

Jonek (do pacholków, zasłaniając sobą Bardosa.)

Ostrzegam: kto go tylko choć palcem porusy,

Zaraz odemnie weźmie pałką po za usy!

Ekonom.

Co? ty dwór straszysz kijem? sam drzyj przed nim raczej!

Dam ja wam wkrótce poznać, co Ekonom znaczy!

Wszystkich, ja was tu widzę, jak stoicie w kupie,
 Jednych każę wywieszać, drugich męczyć w ciupie!
 (do Bardosa).

Do jutra sprawa z nami, Panie Łacinisto.
 Toż-to ci twoją tekę wytrzępię na czysto!
 Będę sam własną ręką jak grad sypał baty.
 (odchodzi.)

Krakowiacy.

A to złośnik!

Bardos (śmiejąc się.)

Zbyt wiele przyrzekł nam zakaty!..
 Jednak, źleśmy zrobili.

Jonek.

Nie spadł mu i włoszek.

Bardos.

Ale mogłaby Zwierzchność mieć z tego zły wniosek;
 Taki człowiek złośliwy i zepsuty z gruntu
 Zawsze nas pozwać może o wzniecenie buntu.

Dorota.

Należez on nam teraz gorącego sadła!
 (z pozornem ubolewaniem do Basi).
 Juz nadzieja zamęźcia na zawse przepadła!

Bardos.

Jeżeli chcemy pomyślnie skończyć te zatargi,
 Wypada nam do sądu pierwój zanieść skargi.
 Musimy zaraz jutro, jak tylko zaświta,
 Pójść z prośbą do Krakowa; to jest rzecz niezbyta.

Dorota.

Daremnie tam pójdziecie, skoda wasój drogi;
 Rzadko kiedy u sądu zyska co ubogi.

Bardos.

Doroto, wy jesteście nadto uszczypliwi;
 Są i u nas sędziowie zacni i poczciwi.
 W złym razie do samego udamy się Króla.

Dorota.

Cy tylko nas wysłuchać będzie jego wola?

Bardos.

Być sprawiedliwym oraz przystępnym na tronie,
Jest-to kamień najdroższy w królewskiej koronie;
Jużem ja to rozważył wszystko doskonale;
Teraz idę i tęgą suplikę wypalę.

(odchodzi).

Doróta (szydersko.)

Nie mądry, kto się cieszy wprzód, nim rów przeskoczy!

(odchodzi do młyna).

Bartłomiej.

No, idźmy wypoczywać. Zycę dobrej nocy!

(idzie za nią).

Krakowiacy (rozchodzą się w różne strony).

Zosia (na stronie).

Może temu wszystkiemu i radzi niektórzy.
Kiedy na nią spoziéram, krew się we mnie burzy!

(odchodzi.)

Stach.

Ach ojce! nie przeżyję takiego kłopotu!

Wawrzyniec.

Nie bój się; przejdzie chmura, nie będzie z niej grzymotu.

(odchodzi.)

Stach.

A ty na to, co powiesz, mój kochany Jonku?
Ktoby się takiéj burzy spodziéwał po słońku!

Jonek (ściska go za rękę).

Nie potrzeba się nigdy smucić, przyjacielu;
Jesce sobie podskocym na twojém weselu.

(odchodzi).

SCENA XVII.

Stach i Basia.

Basia.

Ach! jakże szczęście nasę zmienną bierze postać!

Stach.

Nie smuć się, Basiu; dłużej nie może tak zostać.
Złość ludzka, choć zarłocna, cas ją musi zdławić;
Gdyby nas i pozarła, nie dajmy się strawić!

S p i e w.

Stach.

Serca, które miłość spoi,
Chcieć rozerwać, jest myśl płocha;
Co się człowiek stracić boi,
To tém więcej jesce kocha.
Próżne wrogów są zamysły,
Iz chcą zgasić miłość naszą;
Niech wycerpią wodę z Wisły,
Przecież nigdy jej nie zgasą.

Basia,

Gdy gołąbka od samicy
Spłósy w polu sęp okrutny,
Do najdalszej okolicy
Zguby szukać leci smutny.

Cy-to bory, cy pustynie,
Wśródzie szuka przyjaciela;
Póty lata, z głodu ginie,
Poki z lubą się rozdziela.

i Górale.

49

Stach.

Grucha w wiecór i poranki.

Basia.

Głosi stratę swój kochanki!

Stach.

Lec gdy znajdzie zgubę swoję,

Basia.

Jakże cieszą się oboje!

Razem.

Któz rozkosy te opowie,
Które cują kochankowie?
Niechaj tego Bóg ukarze,
Kto nam kochać się zabrania!
Umiérajmy z sobą w parze:
Strasniejsa śmierć jest z rozstania.

(Muzyka przechodzi w akord trwogę oznaczający, i towarzyszy następującej scenie aż do wnijscia pastucha.

SCENA XVIII.

(Słychać zdaleka wrzawę i dźwięk dzwonów).

**Stach, Basia, Bartłomiej, Dorota, Wawrzyniec, Ionek, Zosia,
Pastuch, Miechodmuch, Krakowiacy i Krakowianki.**

Stach i Basia (przerażeni).

Jakiś hałas powstaje!

Bartłomiej (z młyńa).

Cóz-to jest? dla Boga!

Stach.

We dzwony biją.

Basia.

Pewnie na wsi jakaś trwoga.

Krakowiacy

Dorota (z młyna).

Mówcie, co-to się znaczy?

Basia, Stach i Bartłomiej.

Może się gdzie pali.

Dorota (na stronie).

Cy tylko wiatr na Wiśle nie rozbił Górali?

(Hałas się powiększa; z różnych stron zbiegają się Krakowiacy i Krakowianki z konewkami, cepami, pałkami i t. p. Następujące odbywa się prędko).

Jonek i Wawrzyniec (wbiegając).

Słyszycie? na gwałt dzwonią!

Kobiety.

Co znaczy ta wrzawa?

Reszta (wbiegając).

Cóż-to jest?

Bartłomiej.

Jakże wiedzieć, kiedy nocna sprawa.

Pastuch (wołając za kulisą).

Wstawajcie, gospodarze!

Wszyscy.

To jest krzyk pastucha!

Bartłomiej.

Cegóz on chce?

Pastuch.

Kto nie spi, kto cuwa, niech słucha.

(wbiega zadyszany; dzwonięcie ustaje. Wszyscy na przeciwnemu leżą; muzyka ucicha).

Wszyscy.

Co się tam stało?

Stach i Jonek.

Cego wrzescys jak salony?

Pastuch.

Słyseliście, jak na gwałt Miechodmucha bił w dzwony?

Wszyscy.

Słyseliśma.

Pastuch.

Biegajciez, póki jeste w porę!

Wszyscy.

Gdzie? dokąd?

Jonek.

Moze wiley wleźli na oborę!

Pastuch.

Oj! daleko was gorse cekają lamenta:

Wokomon wpadł z dworskimi, i wygnał skubenta!

Wszyscy (wykrzykując).

Bardosa! cy być moze?

Jonek.

To złość niesłychana!

Pastuch.

Wzieli go między siebie, jak zydzi Hamana.

Stach i Jonek.

Dalej, bracia, do pałek!

Wszyscy.

Damyz my im chleba!

Jonek.

Nuze żywo, chłopaki!

Wszyscy.

Odbić go potrzeba!

Bartłomiej.

Dokąd go pognali?

Pastuch.

Prosto ku lasowi.

Wszyscy.

Daléj w tropy za nimi!

Jonek.

Biada ich grzbietowi!

Wszyscy.

Idźma, idźma!

(chęć iść).

Miechodmucha (wpada zgrzany).

Dla Boga! a cóż-to się dzieje?
Może do zakrystyi wkradli się złodzieje?

Wszyscy.

Strasny stał się przypadek...

Kobiety.

Ach! smutna nowina!

Miechodmucha.

Mówcież, bo mi ze strachu powstaje cupryna.

Wszyscy.

Jak-to, cy wy nie wiecie?

Miechodmucha.

Nie; juzem był zasnął,
Gdy mi przekłéty pastuch nad usami wrzasnął;
Myśląc, ze się zdarzyło coś bardzo strasnego,
Poleciałem bić na gwałt... lec nie wiem, dla czego.

Wszyscy.

Bardosa nam wygnano!

Miechodmucha.

Ślicna historyja!

Wszyscy.

Ale wnet go wrócima!

Stach i Jonek.

Bieźmy, bo cas mija

Bartłomiej.

Kobiety się zostaną.

Kobięty (krzycząc).

My pójdziema z wami!

Basia i Zosia.

Potrafim i my machnąć w potrzebie cepami!

Bartłomiej.

Wy się krokiem nie ruscie! Juz późno wieczorem;

Cy można, aby chaty zostały otworem?

Niech się żadna za nami z domu iść nie wazy.

Miechodmucha (tehdórzowato kryje się za kobięty).

Ja się także z babami zostanę na strazy.

Śpiew ogólny.

Dalej, bracia, do pogoni!

Niesczęśliwych wspierać trzeba,

Bo kto słusnej sprawy broni,

Pomagają mu i Nieba!

Ten niegodzien sam litości,

Kto ratunek zwleka długo;

Dać obronę niewinności

Pierwszą cnotą i zasługą!

(Wszyscy biegną wywijając pałkami; Miechodmucha i kobięty zostają. Poczyna grzmieć i łyśkać; zasłona spada).

A K T II.

(Teatr przedstawia las między skałami. Na przodzie, po lewej stronie, widać ciemną jaskinię ukośnie, jednakże czołem do widzów obróconą; otwór jęj obwarowany drewnianą kratą, która jest dużą kłódką zamknięta. Po prawej stronie stoi dąb gałęzisty; po środku teatru zaś pień dosyć wysoki, sztuką na ul przysposobiony i jeszcze w górze kilka gałęzek mający. Noc ciemna; ły ska się i grzmi).

SCENA I.

Bardos (z tłumoczkim na plecach).

Ś p i e w.

Los okrutny, los niestały
Dziwne wyrabia igrzyska:
Raz nas wznosi na szczyt chwały,
A drugi raz na dół ciska.

Nie mądry, kto mu dowierza,
Kto się rozumu nie radzi:
Najczęściej wtenczas uderza,
Kiedy do szczytu prowadzi!

Jak piłką igrają dzieci,
Tak nami los igra właśnie

Dziś nam nadzieja zaświeci,
A jutro znowu zagaśnie.

Lecz choć pogrom z góry runie,
Maż się bardziej w słabość zbroi;
Bije piorun po piorunie,
On jak dąb stoletni stoi!

Im więcej nieszczęść w szeregu,
Tém mężniej kieruj twą nawą;
Miło jest stanąć u brzegu,
Lub téż utonąć ze sławą.

Ja także chociaż już tonę,
I łądu dojrzec nie mogę,
Mimo żywioły zwichrzone,
Na ślepo puszczam się w drogę.

Dość wesolą pielgrzymkę odpawiam z rozpaczy,
Ale dokąd, którędy? Bóg-to wiedzieć raczy. —
Jakże prędko znikają ludzkie urojenia!
Myślałem, że już minął kres mego cierpienia;
Że osiadłszy pomiędzy kmiotkami na roli,
Zacznie się szczęście do mnie uśmiechać powoli,
I że z pracy rąk moich, choć wprawdzie nie hojnie,
Żyć będę raz przynajmniej szczęśliwie, spokojnie.
Nie, i téj skromnej chęci nie ziściły Nieba!
Trudno się z niemi spięrać; wyższym uledez trzeba...
Często człowiek do portu na ślepo zawija.
Może mi się przeprosić uda mego stryja...
(grzmi).

Z tém wszystkiem, co tu począć? tucza grozi bliska...
Muszę sobie w tych krzakach szukać legowiska,
Ale czém się przykryję?...

(rozwiązuje tłumoczek i wykrzykuje.)

Ach! na Apollina!

Mam płaszcz czarny! — i kołpak! — i brodę rabina!
Którąm do Bachusowej przysposobił roli.

(śmiejąc się).

W prędkości, gdy mnie gnano, wziąłem mimo woli.

(kładzie się).

Otóż pomoc w przygodzie! — Spokojny w sumieniu
Smaczno się przespać może na twardym kamieniu.

(Muzyka ogłasza zlekka zbliżenie się Górali; on wstaje
i nadśłuchiwa).

Lecz cicho!... cóż-to znaczy?... słyszę jakieś krzyki!...

Do kata! ludzie jacyś!... może rozbójniki!

Trzeba nam się ztąd cofnąć... lecz w prawą, czy lewą?...

Wstyd ze strachu uciekać; — wsuńmy się na drzewo.

Jednakże wprzód na stronę sprzątnijmy rupiecie....

(kryje w krzakach tłumoczek i drapie się na drzewo).

Czegóż-to człowiek z męstwa nie dokaże w świecie!

SCENA II.

Bardos (na drzewie), **Ekonom.** **Basia,** **Górale.**

Ś p i e w.

Bryndus.

Przecie nam się raz udało!

Ekonom.

Tylko za mną, tylko śmiało!

Wnet ją zamknem w Smoczěj Skale.

Bardos (półgłosem).

To Ekonom i Górale!

Bryndus.

Lepiej posła sprawa w nocy.

Wypogodźma teraz coła!
 Mając dziewczkę w nasój mocy,
 Cart jój wydrzéc nam nie zdoła!

Basia (którą wprowadzają przemocą).
 Cóz się ze mną biédną stanie!

Bardos (z cicha).

Słyszę jakieś narzekanie!

Basia.

Ach! mój Stasiu! ratujze mnie!

Bryndus.

Wsparcia wzywaz nadaremnie;
 Juz nie ujrzys twego Stasia.

Bardos.

Ach! dla Boga! wszak-to Basia!
 O! złodzieje! o! hultaje!

Basia (wrywa się).

Rospac męstwa mi dodaje!
 Umié śmiercią wzgardzić cnota:
 Milsa dla niój, niz sromota!

Bryndus.

Trwaj ty sobie w twym uporze;
 Juz ja ciebie upokorzę,

Górale (do Ekonoma).

Ale gdyby nas gonili...

Ekonom.

Możem skryć się w każdój chwili.

(odmyka kłódkę u kraty).

Basia (którą prowadzą do jaskini).

Dokądze mię prowadzicie?
 Weźcie racój moje zycie,
 Bo nic w świecie tak nie boli!
 Jak pójsć wolnej do niewoli!

Górale.

Będzies pani wnet łaskawa,
Skoro poznas, z kim jest sprawa!

(Zaprowadzają Baškę: ona woła w miarę oddalenia coraz ciszej: Stasiu! Stasiu! Nareszcie jej nie słychać. Muzyka to charakteryzuje, a potem nagle przechodzi w Allegro. Ekonom zanymka na klucz kłódkę).

Górale.

Nuz wesoło, przyjaciele!
Nasa teraz jest wygrana!
Było wprawdzie strachu wiele,
Ale zemsta dokonana!
Kiedy niéma w sercu męstwa,
Trzeba się chytrnością wspierać;
Zdrada lepsza od zwycięstwa,
Bo nie kaze nam umierać.

Bryndus (wesoło).

Wsystko nam się powiodło, jak gdyby po mydle!

Świstos.

Juz się przemądry spacek w nasém trzepie sidle!

Morga (ciesząc się).

Aleśma z Krakowiaków zadrwili okrutnie!

Bryndus.

Co umieją Górale, niech poznają trutnie!
Ani się spodziewają, żeśma tu z powrotem;
Spadliśma niespodzianie, kieby chmura z grzmotem.

Świstos.

Dobrze, żeśma kobiety przewieźli przez wodę.

Bryndus.

Byłyby nam w uciecce robiły przeszkodę.

Morga (z obawą).

Lec jesce strach nie minął, pókiśmy nie doma!

Ekonom.

Pozostawcie te rzeczy głowie Ekonoma.

Morgal.

Oj! prawda, że w tej pałce rozum jak u lisa,
Mógłby nawet samego wywieść w pole bisa.

Ekonom (z głupowatą wyniosłością).

Jużci mogę się chlubić moją mózgownicą;
Znać, że darmo nie chodził do fary z tablicą.
A teraz posłuchajcie, taka moja rada:
Dziś wam do domu wracać wcale nie wypada;
Jutro zaś, gdy się chłopcy trochę uspokoją,
Ruszycie ztąd wieczorem ze zdobyczą swoją.

Świstos.

A jak nas tu przydybią?

Morgal (w strachu).

Dalizby nam bobu!

Ekonom.

Już ja na to użyłem pewnego sposobu,
Że tu żaden z Krakowców nie pokaże oka; —
Wiédźcie, że w tej jaskini ma być... gniazdo smoka.

(Wszyscy, oprócz Bryndusa, odskakują przerażeni).
Smoka?!

Morgal.

Oj! strach!

Świstos.

Drzę cały!

Morgal.

Jak do nas wylizie?

Świstos.

Albo jak ci Bryndusie, twą Baškę zagryzie?

Ekonom.

Nie bójcie się; ja ręczę, nic jój nie uczyni.

(chyttrze).

Prawda, że on od dawna siedzi w tój jaskini;
Lecz odtąd, jak kazałem dawać mu barany,
Tak się już ułaskawił, jak gdyby chowany.

Bardos (na drzewie).

Co ja słyszę?

Wszyscy.

Barany! a to znowu na co?

Ekonom.

Aby szkody nie robił.

Bardos (wykrzykuje z cicha).

Cóż-to za ladaco!

Morgal.

A nuz się do dziewczyny bestyja przycepi?

Ekonom.

Ale nic jój nie zrobi, już ja to wiem lepiej.
Teraz on tam nie siedzi; koło tego czasu
Zwykł sobie na ślimaczki wychodzić do lasu.

Bryndus (śmieje się na stronie).

Toz-to łze, jak najęty.

Górale (zdziwieni).

Trudna rzecz do wiary!

Bryndus.

(uśmiechając się ciągnie Ekonoma pod drzewo;
Bardos zaziera z góry).

Moze Pan Smok Dobrodziej lubi jeść talary? —

(Liczy mu pieniądze).

Juz wzięliście dwadzieścia, a dwadzieścia dają,
Więc teraz kwita z nami.

Bardos.

Cóż-to za szachraje!

Ekonom (z cicha).

Jednak proszę, Bryndusie, abys nie wygadał..

Bryndus.

Ani pisnę.

Świstos (przypominając sobie).

Pamiętam, ktoś mi raz powiedział,
Ze ten strasny smocysko już teraz nie zyje;
Ze jakąś mądrą stuką zabili tę żmiję?

Morgal.

Ze kiedyś połknąć mia^{ła} proch w skórze cielęcój.

Ekonom (zajakując się).

Prawda, — stary smok zginął, lecz miał smocząt więcéj.
Ej! dajmy temu pokój; mówcież, jak się stało,
Ze wam Baškę tak zręcznie porwać się udało?
Bo ja, jak wiecie, byłem przy koniach z daleka.

Bryndus.

Zmówiłem się z Dorotą, że tam, gdzie pasieka,
W nocy cekać ją będę; onaz pokryjomu
Dała nam znać o wszystkim, co się działo w domu:
Powiedziała, żeś Wać Pan wypędził skubenta.

Świstos.

Oj! dobrze mu się stało; to stuczka zawzięta!
Byłby nam pewnie znowu poprzypiekał nosy,
Albo jak piérwój, w górę pozadzierał włosy.

Morgal.

Zjé carta, że potrafi; bo ten figiel z torbą,
Który on, gdy carował, zawse kręcił korbą,
Ukradłem mu z chałupy i wrzuciłem w rzekę.
Dobrzem rękę obwinał, bom się bał, że spiekę.

Wszyscy (wykrzykują z radością).

Słusnieś zrobił!

Morgal.

Lec pornać nie chciała bestyja.

(okazuje stłuczenie elektryki).

Wszyscy.

Przednie! toś mu dał pieprzu!

Bardos (zapomina się i wykrzykuje głośno).

Przekłete wisusy!

Świstos (ogłąda się).

Ktoś zagadał!

Ekonom.

Zkąd znowu?!

Morgal.

Ach, juzem bez dusy!

Bryndus.

Ja słysałem wyraźnie.

Ekonom (tchórzało).

Tak ci się zdawało.

Reszta Górali.

Myśma także słyseli.

Morgal.

(bojaźliwie i prawie z płaczem).

„Wisus“ zawołało!

Ekonom.

(obziéra się i nadśluchiwa).

Nic nie słycać bynajmnieć; co téż z was za tchórze!

Morgal (drżący).

I cóż my temu winni: juz-to tak w naturze.

Ekonom.

Wróemy się do nasego. Powiédźcież mi daléj,

Czy nie robiła krzyku, gdyście ją porwali?

Bryndus.

Krzycała, lec Krakowców nie było we wiosce.

Ekonom (nadśluchiwa koło kraty).

Już się uspokoiła.

Świstos (drwiący).

Cichacem się trosce.

Morgal (śmiejąc się).

Może sobie nareście usnęła z rospacy.

SCENA III.

Ciż sami i Kwicołap

(który wpada nagle z krzykiem).

Kwicołap.

Oj! gwałtu! uciekajcie! gonią Krakowiacy!

Wszyscy (przełknięci biegną po scenie).

Tamże do paralusa!

Morgal.

Będziez tu hałasu!

Świstos.

(wskazując na jaskinię, gdzie Basia).

Schowajmy się w tę dziurę.

Morgal (płaczliwie).

Oj! w nogi zawcasu!

Ekonom.

Czyś tylko dobrze słyszał?

Kwicołap (na pół z płaczem).

Ach! mój Boże miły!

Jak wrzasnęli raptownie, azem spadł z kobyły!

Ekonom.

Daléjże ztąd co żywo, spieszmy się do koni,
Znam ja tutaj gęstwinę, która nas zasłoni.

(chce odejść).

Bryndus (zatrzymuje go).

A z Baską jakże będzie?

Ekonom.

Nikt jój nie odkryje;

Żaden tu z nich nie zajrzy, stawię na to szyję.

Jeszcze czas, uciekajmy.

Wszyscy.

Daléj, bracia, w nogi!

Morgal.

Oj! pałki nas cekają!

Bardos (żartobliwie).

Może i batogi!

Ekonom (uciekając).

Jakby na złość powstaje coraz większa flaga!

Bryndus.

Kto się nie stracha. temu i Pan Bóg pomaga.

(odchodzą).

Morgal.

(chwieje się, chce drapnąć; lecz w tém pioran uderza);
on pada z krzykiem, jak długi).

Zabił mię!

(płaczliwie).

Oj! pomaga! —

(zrywa się).

Ach! mój Jacku święty!

Jak trzasnął, az mi serce wsunęło się w piętę!

(ucieka za drugimi).

S C E N A IV.

Bardós.

(złazi z drzewa i patrzy, czy poszli).

Otóż piękną odkryłem zdrady tajemnicę!

Jakże teraz uwolnię moje pustelnicę?..

Bojąc się Krakowiacy zdybać tu ze smokiem,

Nieochybnie to miejsce mijać będą bokiem....

Trzeba mi tu koniecznie pomieszać ich szyki...

Choćbym ich chciał nastraszyć? niemam elektryki.

(myśli).

Ale stój.... mam coś.. przednie.. pomysł wyśmienity:

Z a b o b o n! ten najlepiej może być użyty.

Ekonom głupi, chciwy.. zażyję go z mańki;

Może go tém udurzę, czém nas durzą niańki.

(zaziera do jaskini).

Basiu!.. Basiu!.. poznaj mię!

Basia (wewnątrz).

Przebóg, któz mię woła!

Bardós.

Ja-to, ja; student Bardes!

Basia (wykrzykuje z radości).

Boże, głos Janioła!

Bardos.

Wyjdźno tu, ale prędko!

S C E N A V.

Bardos, Basia (u kraty).**Basia.**

(ujrawszy studenta wykrzykuje z całej mocy)

Ach! panie Skubencie!

Chcą mnie porwać Górale!...

Bardos.

Próżne przedsięwzięcie.

Wiém ja dobrze o wszystkiém; byłem na tym dębie,
I widziałem, co z tobą robili jastrzębie.

Basia.

Ach! ratuj mię bo zginę!

Bardos.

Ukoj twoje żale.

Gdyby teraz po ciebie nadeszli Górale,
Potrafię ich od gwałtu wstrzymać czas niejaki,
Dopóki nie nadbiegną do nas Krakowiaki.
Na wszystkie moje dobrze uważaj wybiegi!
A teraz bywaj zdrowa, bo idę na szpiegi.

Basia

Jak-to! już mię opuszczas! a nuz mnie powleką?

Bardos.

Nie bój się; ja od ciebie nie pójdę daleko.
Ty się za mnie tym czasem chciéj modlić, kanarku,
Abym sobie po ciemku nie nakręcił karku.

(odchodzi).

SCENA VI.

Basia (sama).

Cóz-to za cłek poćiwy! jak się dla mnie trudzi!
Ach! gdyby Bóg takimi wszystkich stworzył ludzi,
Nie byłoby natenczas w świecie krzywdy żadnej,
Byłaby sprawiedliwość, a nie gwałt skaradny.

S p i e w.

O! wielki Boże! skońc nieszczęsnych mękę!
Niechaj opieki twojej doznawają!

Tym pobłogosław, co im dają rękę,
 Co ich z upadku i nędzy dźwigają!
 Niechaj ta chwila jak najprędzej spiesy.
 Która ma zerwać ich niewoli pęta!
 Niechaj się każdy tém, co kocha, ciesy!
 Niech między ludźmi mieska zgoda święta!

Basia i Bardos.

Bardos (z pośpiechem).

Ktoś nadchodzi, bo słyszę szelest i krząkanie.

Basia.

Ach! pewnie po mnie idą; ratujże mnie, panie!

Bardos.

Nie narzekaj; przy tobie będzie twój obrońca.
 Ukryj się, i cierpliwie tam oczekuj końca.

(Basia kryje się w jaskini).

Poczekajcie, rabusie, zrobię wam psikusa!
 Dalej po garderobę mojego Bachusa. —
 O! boska Poezyo! złój na mnie twe dary,
 I pozwól z niepodobnej zrobić rzecz do wiary!
 Zasłońcie mnie swą tarczą, wy Parnasu córy!
 Bo jeżeli się nie uda, strach koło méj skóry.

(odbiega w tę stronę, gdzie tłumoczek schował).

SCENA VII.

Ekonom.

(wychodzi bojaźliwie i obziéra się).

Nie, niema tu nikogo; spokojnie i cicho.
 Bałem się, czy ich tędy nie poniesie лихо...
 Zemściłem się nad Baską i nad Bartłojem;
 Kto słyszał Ekonoma nazywać złodziejem!...

Nie dbam, chociaż się później dowiedzą o spisku;
Gdy czterdzieści talarów zostaje się w zysku.

(dobywa kieskę, potrząsa nią i chowa).

Łatwiej sobie wyszukać w innej stronie pana...

(przygląda się kracie).

Próżna była obawa, — kłódka nieruszana.

Wróćmy się do Góralów, bo tu jakoś smętnie.

Gwałtem mię tu wypchali, poszedłem niechętnie.

(Słychać szelest Bardosa za kulisą. — On się przestrasza).

Cóż to jest?... jakiś szelest?... może zegnał ptaka.

W dzień zuch jestem, lecz w nocy miéwam serce żaka.

Coś mi tak niby mrówki łążą po sumieniu...

Któż wie, różne się cuda dzieją w przyrodzeniu.

(grzmi).

Mówią, że w nocy chodzą widma i upiory...

Brr! na samo wspomnienie przejmują mię mory!

Prawda, że w tym tu lesie straszę chłopów smokiem,

A sambym zdechl ze strachu przed jego widokiem!

Idźmy, aby nam jakiejś biés nie zrobił psoty.

(idzie bojaźliwie tam, z kąd przyszedł).

SCENA VIII.

Ekonom, Bardos

(w dużym kołpaku, czarnym płaszczu, mając pręcik
w ręku).

Bardos.

To jest widzę ekonom; dalej do roboty:

Przybierzmy i głos taki, jak jest mina sroga.

(zachodzi mu z tyłu i uderzywszy go mocno po ramieniu
mówi groźnym głosem)

Stój!

Ekonom.

(pada ze strachu na kolana i wrzeszczy zamknięwszy oczy).

Aj! gwałtu! duch wszelki chwali Pana Boga!

Bardos (uderzając mocno o ziemię nogą).

Co tu porabiasz w nocy, nędzny śmiertelniku?

Ekonom.

Oj, oj, oj! już mi dusza siedzi na języku!

Bardos.

Któraż-to ciebie gwiazda w tę puszcę przyniosła?

Ekonom.

Mnie?... mnie?...

Bardos (na stronie naturalnym głosem).

Zląkł się; nastraszy jeszcze lepiej osła.

(groźno).

Mówże! jakim planetą przybyłeś w tę chwilę?

Kozłem?

Ekonom (płaczliwie i szczerze).

Nie; jam przyjechał na mojej kobyle.

Bardos.

Możesz leciał na Raku po niebieskiej sferze?

Ekonom.

Jeszczem w życiu nie jeździł na takim ogierze.

Bardos (łagodniej, z cieniem żartu).

Chcesz waś wiedzieć, kto jestem? Mówisz z czarownikiem,

Który widzi, żeś w czépku rodził się pod Bykiem.

Ekonom.

Ach! to wszystko być może.

(spoziera ukradkiem i mówi na stronie).

Któżby-to był taki?

Co za potężna broda! kołpak w jakieś znaki!

Bardos (groźno).

Wstań!

Ekonom (wstaje i usuwa się od niego).

Czego chcesz odemnie? wszak ja człek poczciwy.

Bardos (patrząc w niebo).

Nie bój się! Czytam w gwiazdach, że będziesz szczęśliwy.
Skarb ci jest przeznaczony z tajnych losów urny.

Ekonom (zdziwiony).

Skarb?

Bardos (uroczyście).

Tak!

Ekonom (na stronie).

A to, jak widzę, jakiś człowiek durny.
(głośno).

Ja ciebie nie rozumiem.

Bardos.

Wiédz, że w téj pustyni
Spoczywa skarb ukryty w jednéj wielkiéj skrzyni,
Który jest zapisany temu cerografem,
Kto tu dziś o północy zabłąka się trafem,
A to jeszcze w tę porę, zanim kur zapieje.
(grzmi.)

Ten go tylko wykopać może mieć nadzieję!

Ekonom (ciekawie).

I ten skarb ja mam dobyć?

Bardos.

Tak jest, nie inaczej.

Ekonom (na stronie).

Może ten oszust próżno głowę mi majaczy.

(głośno).

Czemuż ty go nie weźmiesz, kiedyś takim éwikiem?

Bardos,

Bo mi los nie dozwolił rodzić się pod Bykiem;
Przedemną strzegą skarbu niewidome stróże.

Ekonom.

No proszę, ktoby wierzył? co-to byk nie może!
I dlaczegóż mi raisz piéniędzy tak wiele?

Bardos.

Bo się z tobą za grzeczność tym skarbem podzielę.

Ekonom.

Bajki!

(grzmi mocno i łyska się).

Bardos (groźno).

Nie wierzysz? czarów astrolog nie kupi!

(silnym głosem).

Chcesz, by cię djabeł porwał?!

Ekonom (podskakuje przestraszony).

Chybabym był głupi!

Bardos (łagodniej).

Albo może... bym zgadnął, co ty myślisz skrycie?

Ekonom (na stronie).

To nie tak straszne.

(głośno).

Dobrze!

Bardos (na stronie).

Idzie wyśmienicie!

(głośno).

Pytaj się!

Ekonom (myśli).

Com ja dzisiaj robił przez dzień cały?

Bardos.

Dziś?

Ekonom.

Aha!

Bardos.

Układałeś zdrady i kabały.

Ekonom (na stronie).

Zgadł!

(głośno).

Ale jakie zdrady?

Bardos.

Byś porwał dziewczynę.

Ekonom.

(osłupiawszy z zadziwienia).

Tamże do wszystkich biésów! zgadł, ach zgadł, niech zginę!...

Ale zaraz go złapię..

(głośno).

Powiedz mi dokładnie,

Co ja mam w tój kieszeni?

(na stronie).

Zjé kata, że zgadnie.

Bardos (udając namysł).

Masz...

Ekonom.

(z lekkim podrzyżnieniem).

Cóż mam?

(na stronie).

Coś się miesza!

Bardos (nagle zgadując).

Czterdzieści talarów!

Ekonom

(z zadziwienia klasnąwszy w ręce)

I to zgadł! ach, już dosyć! już dosyć tych czarów!

Jak gdyby zliczył.

Bardos (łagodnie).

Może wątpliwość cię bierze?

Więc mocniej cię przekonam.

Ekonom.

Ach! wierzę już, wierzę, —
 Niéma co mówić, prawda, łebski z Asindzieja!
 Daruj, żem cię miał wprzódy niby za złodzieja....
 Powiedz mi: wiele taki skarb może być warty?

Bardos (obojętnie).

Jest w nim korzec dukatów, pereł ze trzy kwarty,
 Talarów bitych będzie..... koło sta tysięcy,
 Może i mniej o kilka, a może i więcej....

Ekonom (trzępiąc rękami).

Ach! stój, stój! proszę ciebie; nie rób oskominy!

(na stronie z chciwością).

Byłby to podział piękny! ach! podział jedyny!
 Moznaby za to kupić wiosek ze dwa klucze!
 Już na samo wspomnienie serce mi się tłucze....

(głośno).

I ten skarb przeznaczony mnie, Ekonomowi?

Bardos (uroczyście).

Tak jest; za to podziękuj Panu Plutusowi.

Ekonom (z zastanowieniem).

A cóż-to za Jegomość?

Bardos.

Jest-to bogactw bożek.

Ekonom.

Więc on Jaśnie Wielmożny! Padam mu do nówek.
 Ta powieść twoja taki apetyt mi czyni,
 Żebym rad jak najprędzej pogmérał w téj skrzyni.

Bardos.

Już się tve szczęście zbliża; idź za mną pomału;
 Lecz pamiętaj, że z tobą należę do działu.

Ekonom.

Gdy mi się skarb ukaże..

Bardos.

W tém jest moja władza.

(idzie poważnym krokiem, a za nim Ekonom; nagle staje, ogląda się po niebie i wykrzyka tak, że się Ekonom przestrasza).

Co widzę!

Ekonom.

Cóż takiego?

Bardos.

Coś nam tu przeszkadza!

Ekonom.

Tamże do paraluz!

Bardos (mocno).

Ach! biada nam, biada!

Już nas tu ktoś uprzedził, do skarbu się skrada!

Ekonom (zdziwiony).

Jakże-to w nocy widzisz, zacny nietopérzu?

Bardos.

Przedemną wszystko jasno, gdyby na talérzu.

Za nic teraz me czary, wszystko poszło marnie;

Bo kto piérwój tam wlézie, ten i skarb zagarnie!

Ekonom (ciekawie).

A gdzież ten skarb spoczywa?

Bardos.

Oto... w owéj jamie.

Ekonom (jak oparzony).

A! niechże teraz djabeł kark mi za to złamie!

Jakiż ja głupiec!

(bije się w czoło).

Bardos (śmiejąc się skrycie).

Jak-to?

Ekonom.

Nic nie wiedząc wcale,
Skradłem dziewczkę, i gwałtem zamknąłem w tój skale.

Bardos.

Co ja słyszę, kobietę? teraz tém-ci gorzój!
W tój płci jest magnes, który w lot wszystko otworzy.

Ekonom (w kłopotcie).

Nie możnaby poszukać, zacny przyjacielu,
Aby ją wyprowadzić, jakiego fortelu?

Bardos.

Wątpię, bo ona ztamtąd teraz się nie ruszy.

Ekonom.

Chciój pozwolić, a może pójdzie chętnie, z duszy.

(woła otworzywszy kraty).

Basiu!... Basiu!... wyjdź tutaj! ale tylko prędzej!

Basia (odzywa się w głębi).

Idź sobie prec ztąd, łotrze, zostaw mię w méj nędzy.

Ekonom (żałośliwie).

Aha, tak! śliczna nędza! pół korca dukatów!
Nie chce wyjść, i cóż teraz począć do stu katów?

Bardos (wywija prętem).

Niechno ja piérwój mruknię słowo po mojemu.

(idzie, i włożywszy głowę do jaskini, woła

nico naturalnym głosem):

Basiu! wyjdź tu!

Basia (wewnątrz).

Juz idę.

Ekonom.

(zdziwiony jój posłuszeństwem).

Któżby wierzył temu!

SCENA IX.

Ekonom, Bardos, Basia.

Basia (wyszędłszy).

Dokądże mam pojsć teraz?

Bardos (niby groźnie).

A jużci do domu!

(Basia chce odbiedz).

Ekonom (chwytając ją).

Stój!

(do Bardosa z cicha).

Gdyby, zem ją wykradł, powiedziała komu ...
Wiész, że kobiéta rzadko sekretu dochowa.

Bardos (do Ekonoma cicho).

Prawda, niéma co mówić; to uwaga zdrowa.
Więc ją trzeba przywiązać do jakiego pniaka.

Ekonom.

Nie; mogłaby się wymknąć i dać ztąd drapaka.
Trzeba ją raczej zamknąć — oto w ulu owym.

Bardos.

Ale czy się tam zmieści?

Ekonom.

Nieraz tam z gajowym

Zasiadałem na wilki.

Bardos.

Więc idźmy cichaczem.

Ekonom.

Może ona nie zechce?

Bardos.

Musi, choćby z płaczem.

Ekonom (do Basi głośno).

No, pójdźże za mną Basiu!

Basia,

(która z obawą na ich szepty uważała).

Nie pójdę złodzieju!

Bardos (niby z fukiem).

Kalabarum! idź zaraz.

Basia (całując w rękę Bardosa).

Idę, Dobrodzieju.

(Ekonom wyciąga dwa spore kolki, które zamykały drzwi od ula. — Bardos tymczasem coś szepnął do ucha Basi; ona głową potakuje. Gdy Ekonom otworzył, Bardos pomaga wsadzić Baškę do ula).

Basia.

Ach! kiedyż, wielki Boże, skończys moje biędę!

Dyć z jednego więzienia do drugiego idę.

(włazi).

SCENA X.

Bardos, Ekonom, Basia (w drzewie).

Bardos.

(gdy Ekonom mocno kolki pozabijał).

No, bierzmy się do dzieła!

(patrzy po niebie).

Jeszcze przed północą.

Wsun się teraz w tę jamę.

Ekonom (drżący).

Ja? a jaż tam po co?

Bardos.

Czyś zomniał? masz zabrać perły i dukaty.

Ekonom.

A jak tam do mnie panicz wylézie rogaty?

Bardos.

Nie bój się; masz zakłęcie; powiesz: „Kalabarum!”

Ekonom.

Oj! coś mi, jakbym zażył świeże rebarbarum!

Bardos.

Wszakżeś tam nie raz siedział, kiedyś kradł barany?

Ekonom (wlepia w niego oczy).

Tfu! i to wié? to jakiś człowiek opętany!

Bardos.

Ten pręt i taśma będą twoim talizmanem.

(zawiązuje mu oczy chustką i daje pręt w rękę).

Ekonom (idąc).

Musi grać ślepą babkę, kto chce zostać panem.

Bardos (potrąca go).

Tylko prędko; — bo oto — widzę gwiazdy jasne.

Żywo, żywo, na miejsce!

Ekonom (obraca się).

A jak ja tam zasnę?

Bardos.

Nic nie szkodzi.

(na stronie).

Co widzę? on klucz z sobą bierze.

Ekonom.

Długoż tam będę siedział?

Bardos.

Ze cztery pacierze;

Najwięcej pół godzinki.

(na stronie.)

Poczekaj, drągalu!

(potrąca go, a potem nagle wstrzymuje).

Stój! czy niemasz przy sobie jakiego metalu?

Ekonom (szczérze).

Nie.

Bardos.

Strzeż się tego bardzo; niech cię Bóg zachowa!
Ale! o twoją kieszka?

Ekonom.

Czy ta metalowa?

Bardos.

Nie; lecz twoje talary. Musisz je zostawić.

Ekonom.

Dla czego?

Bardos (zastraszając go).

Metal, skarbu mógłby cię pozbawić!

Ekonom (dobywając kieski).

Ach! jakże dla mnie ciężkie z niemi pożegnanie!

Bądź sumienny i szanuj siódme przykazanie:

Pamiętaj, że w twych rękach cała moja kasa!

Bardos.

Nié bój się!

(wrywa mu worek).

Co ja widzę? ty masz klucz u pasa!

Ekonom (szczérze).

Mam.

Bardos (łagodnie).

Może jest drewniany?

Ekonom.

Z kąd znowu? z żelaza.

Bardos (strasząc go).

Co robisz? to największa na czary odraza!

(wrywa mu klucz).

Idźże teraz.

(potrąca go do jaskini).

Ekonom (zaklinając go).

Lecz proszę, nie zwiń chorągiewki,
I nim się skarb wysunie, nie capnij sakiewki!

(włazi).

Bardos (wołając za nim).

Idź jak możesz głęboko; — tam po prawej stronie!

Ekonom (wewnątrz).

Ach, ze stracbu zębami jak na nieszpór dzwonię.

Bardos.

(woła na nim tonem przestrogi).

Póki cię nie zawołam, nie wychodź do kraty!

(zamyka go na kłódkę).

Dam ja tobie z studentem wychodzić w palcaty!

Ha! ileż-to wybiegów trzeba było na to!

Lecz szczęście dwojga ludzi będzie mi zapłatą.

(bieży pod drzewo, w którym Basia siedzi).

Basiu! Basiu!

Basia (wewnątrz).

Cego chcesz?

Bardos.

Nasa jest wygrana!

Jużem zamknął w jaskini twój tyran!

Basia.

Więc puść mię!

Bardos.

Nie; siedź jeszcze w twoim futerale,

Aż się dowiem z pewnością, gdzie bawią Górale.

(idzie naprzód sceny, i mówi do sakiewki).

Coż nam z temi Judasza robić śróbrnikami?

Są one pokropione téj dziewczyny łzami!
 Zaniósę je na wsparcie tych biednych do grodu,
 Którzy się żebrać wstydzą, chociaż giną z głodu.
 Boże! gdybyś chciał stokroć tę liczbę podwoić,
 Ileż-to nieszczęśliwym mógłbym lez nkoić!
 Bo czyż może, nad litość, być świętsza powinność?
 Cóż czleka z Bóstwem równa? oto — dobroczynność!

Ś p i é w.

Nie ci są wielcy, których głosi sława,
 Nie ci, co świetnych przodków wyliczają;
 Bo pierwsi często gwałcą święte prawa,
 Drudzy przez dumę ludzkość pokrzywdzają.
 Lecz ten jest wielki, podług mego zdania,
 Kto swą wielkością nieszczęsnych zasiała.

(Ku końcu śpiewu muzyka ucina, a waltornia za kulisą
 wyraża echo; waltornia w orkiestrze odpowiada).

Bardos.

Cóż-to jest?

Basia.

(pokazuje się wierzchem drzewa).

Ach! ktoś woła!

Bardos.

Ukryj się w swym pniaku!

Nie waż mi się pokazać, póki nie dam znaku.

Basia.

Ach! może-to mój Stasio!...

Bardos.

Choćby nawet ojciec.

(nieco z fukiem).

Schowaj się!

(Basia kryje się; echo mocniejsze).

Któżby-to był? muszę tego dociec.

(Staje pod drzewem, gdzie Basia siedzi; ile razy Basia w tej scenie i w następującej mówi, tyle razy pokazuje głowę wierzchem drzewa; lecz skoro Bardos krzyknie: cicho! zaraz się kryje).

M e l o d r a m a.

(Stach za kulisą woła coraz bliżej; echo powtarza coraz mocniej).

Stach.

Basiu!... Basiu!

Basia (radośnym głosem).

Mój Stasio!

Bardos (pukając w drzewo).

Cicho!

Stach.

Me klejnoty!

S C E N A XI.

Stach, Bardos, Basia (w drzewie).

Stach.

(wybiega w rozpaczę szukając i wołając).

Basiu!... Basiu!

Basia.

Ach! Stasiu!

Bardos.

Cicho!

Stach.

Me piescoty!

Basia.

Nie wytrzymam !

Bardos.

Siedź cicho!

(Następujące ciągiem podczas muzyki).

Stach.

Próżno sukam wsędzie!

Ach! pono ta pustynia grobem moim będzie!

Nie; tego nie przeżyję! rzucę się z téj skały!

(bieży w rozpacz na skałę).

Basia.

Ach! przebóg!

Bardos (z fukiem).

Milczże, mówię!

(do Stacha głosem naturalnym).

Stój, zapamiętały!

Chcesz samobójcą zostać?

Stach (na skałę).

Kto mnie zatrzymuje?

Strzeż się mojej rozpacy, którą w sobie cuję!

Kto już wszystko utracił, co mu drogie było,

U tego życie nicem, temu umrzeć miło!

Bardos.

Stanisławie!

(bez kołpaka i brody, bieży na skałę. Stach poznawszy głos jego, stoi jak wryty z zadumienia).

Stach.

Bardosu! ach, jakie zjawienie?!

(Uściskanie. Muzyka się ucisza).

To cud! — jak? z kąd się wziąłeś?

Bardos.

Skończ to podziwienie;

Wnet się wszystkiego dowiesz.

(zechodzą na dół).

Stach.

Lec jakżeś ubrany?

Bardos.

Podziękuj mi, że takiej użyłem przemiany.

Stach (z żalem).

Cy wiés, ze moję Basię...

Bardos.

Z domu wykradziono?

Wiém; lecz ona wszelako będzie twoją żoną.

Stach (z uniesieniem).

Jak-to? cy to być moze? powiedz, gdzie się kryje?
Polecę, ją odbiorę, a zdrajcę ubiję!

Bardos.

Sam ci ją przyprowadzę; teraz na minutę
Musisz piérwój w tym ulu odprawić pokutę.

Stach (zagadniony).

Dla cego?

Bardos.

Wszystko powiem, ale w swoim czasie.

Stach.

Będęz ja pewnie widział moję drogą Basię?

Bardos.

Pewnie, pewnie!... lecz cicho.. jakiś szelest słyszę.
Ktoś tu się do nas zbliża; pewnie ci urwisze.
Uciekaj do kryjówki!

(pcha go ku ulowi).

Wyciągnij te kołki.

Stach.

(czyni to i otwiera. Gdy spostrzega Basię, krzyczy
z radości).

Co widzę? Basial?

Basia (podobnie).

Stasio!?

Bardos.

Zamknijcie się co żywo!

(do Stacha).

Masz już Basię twoję.

Stach (śmieje się).

Z Waćpana zawsze figlarz!

Bardos.

(przytwierając drzwiczki, lecz kołków już nie zakłada — z uśmiechem).

Złapałem dwa roje!

Nie zły ze mnie pasiecznik, wartem za to palmy.

(nadsłuchiwa).

Już nadchodzą; zawczasu w krzaki się oddalmy.

(chce się kryć).

Dorota (za kulisą płacząc).

Ach! mój Stasiu! mój skarbie! ach! ty moje zdrowie!

Bardos (wraca się).

Prawdziwie, to Dorota; poznałem po mowie.

Zapewnie Stacha szuka; poczekaj Waćpani,

Znajdzie się jeszcze w głowie figielek i dla niej.

Stargam ja twój kabaly tę misterną przędzę,

Az się spocisz, takiego piotra ci napędzę.

(bierze brodę, kołpak, i kryje się za drzewo).

SCENA XII.

Dorota, Pastuch.

Dorota.

A cyś dobrze widział, że w te pobiegł strony?

Pastuch.

Dyć on się ze mną zdybał; leciał jak salony.
 „Jeżeli Baški nie znajdę“ wrzasnął w strasznym gniewie,
 „Jesce się dziś powiesę na najpierwsém drzewie!“

Dorota (lamentując).

To samo i mnie mówił po Baški utracie!

S C E N A XIII.

Bardos, Dorota, Pastuch, Stach.

Bardos.

(w kołpaku i brodzie, zachodzi z tyłu, staje nagle przed Dorotą, i mówi głosem zmienionym, ale łagodnym).

Dorota.

(pada na kolana wrzeszcząc).

Ratuj mię, Boże!

Pastuch.

Otóż teraz macie!

(ucieka).

Dorota (drżąc).

Brońcie mię, janiolowie, przed tym rozbójnikiem!

Bardos.

Nie lękajcie się, matko: jestem pustelnikiem;
 Człowiekiem wam podobnym. W czémże pomódcz mogę?

Dorota.

(patrzy ukradkiem i bojaźliwie).

Pustelnik?

Bardos.

Tak jest; może zgubiliście drogę?

Dorota.

Nie... Nic-ze mi się biédnej tu złęgo nie stanie?

Bardos.

Owszem ratować biédnych moje powołanie.

Dorota (wstaje).

Wybaccie kobiécinie, ze się prędko stracha.

Bardos.

Czegóż chcesz ?

Dorota.

Ach, ja sukam tu pewnego Stacha,
Który sobie z rozpacy chce odebrać życie.

Bardos (niby ze smutkiem).

Ha, kiedy tak, za późno szukać przychodzicie!

Dorota (wykrzykuje).

Cy juz zginął?

Bardos.

Niestety! Módlcie się za duszę.

Dorota (zawodząc).

Ach! biednaz moja głowa!

Bardos.

Zakończył katusze.

Usłyszałem z méj chaty

(wskazując na jaskinią).

jego straszne jęki.

Chciałem ratować; ale — zginął z własnej ręki.

Dorota (zawodząc).

Gdybym go choć raz była ścisnęła przy zgonie!

Bardos (z lekkim żartem).

Nie płaczcie, już on w niebie na aniołów łonie.

Teraz go pewnie jaki przyciska do serca.

Dorota.

Mój Stasiénko nie zyje!

Bardos.

Sam on swój morderca!

Borota.

Ach! ja-to śmierci jego podałam przyczynę!

Bardos.

Żałuj za twoje grzechy — Bóg odpuści winę!

Dorota.

Ach! już go nie obacę, cóż pomoże skrucza!

Bardos.

Jeżeli zechcesz, więc możesz widzieć jego ducha.

Dorota (z bojaźnią).

Pokaz mi lepij trupa.

Bardos.

Kiedy już schowany,
Na dziesięć łokci w grobie ziemią przysypany.

Dorota (bojaźliwie).

Jakże mi się pokaze, cy w sacie grobowej?

Bardos (nieco żartobliwie).

Owszem, jak był za życia: i tłusty i zdrowy.

Dorota.

Radabym go oglądać, lec się boję trocha.

Bardos.

Nie bój się! on cię jeszcze i po śmierci kocha.

(do drzewa wołając).

Pokaż się Stanisławie, porzuć wieczne noce!

Przemów do niój!

Dorota.

Oj! nie chcę; już się i tak pocę.

Nie wołaj!

Bardos.

Już za późno.

(woła).

Ona prosi o to!

Dorota (w strachu).

Nie, nie, nie! nie chcę tego; nie wołaj!

Stach.

(wystawia głowę wierzchem drzewa i mocno woła).

Doroto!

Dorota.

Ach!

(wrzasnąwszy pada na kolana, tyłem do drzewa obrócona,
i zakrywa sobie oczy).

Stach (z naciskiem i żartem).

Dajciez mi po śmierci pokój z swą miłością!

(kryje się).

Bardos (z lekkim żartem).

Jakże czule przemówił i z jaką lubością!

Dorota (przychodząc do siebie).

Ach! ledwom nie umarła! jakże strasnie krzyknął!

Bardos.

Już powrócił, z kąd przyszedł.

Dorota.

Cy pewnie?

Bardos.

Już zniknął!

Dorota (płacząc).

Posła znowu do cyśca dusa niesczęśliwa!

Bardos.

Niech tam sobie biédaczek, gdzie jest, odpoczywa.

Cóż teraz robić będziesz? Wrócisz do chałupy?

Dorota.

Posłabym, lec mi w oczach stoją same trupy.

Zacekam tu do świtu.

(Symfonia wzrastająca. Wrzawa za kulisą z daleka)

Cóż to za hałas?

Bardos.

Prawda, i ja coś słyszę, może szumią lasy.

Dorota.

Ach nie! słyszę, że ludzie; może Kr kowiaki
Dogonili Bryndusa.

Bardos.

A któż-to jest taki?

Dorota.

Tego mówić nie można; mam ja w tém racyję.

(na stronie).

Jak mię tu mąż zastanie, na śmierć mię ubije.

Krakowiacy (za sceną).

Gońcie ich!

Dorota.

(biega po teatrze w trwodze, i szuka, gdzieby się
skryć mogła).

Ach, to oni! gdzież się skryję biedna!

Jonek (za kulisą).

Zabijajcie!

Bardos.

Nie bój się, jest ucieczka jedna;
Schroń się tu, ale prędko, do mego mieszkania.

Dorota (odskakuje z przestachu).

Ach! może tam smok siedzi?

Bardos.

Niech Pan Bóg zabrania;

To jest moja siedziba.

Dorota.

Jakże nieprzyjemna!

Bardos.

Jednak dosyć wygodna, chociaż trochę ciemna,

Bartłomiej (blisko za kulisą).

Daléj za nimi!

Dorota.

Przebóg! to głos mego męża!

Bardos.

(odmyka jaskinią i wpycha ją do niej).

Idź tu w lewą; siedź cicho!

(zamyka na klucz).

Jużem zamknął węża!

O! czemuż-to nie mogę w téj jamie głębokiej

Wszystkie naszego świata pozamykać smoki!

(włazi na drzewo).

(Krzyk za sceną wśród symfonii).

Krakowiacy.

Trzymajcie ich!

Górale.

Oj! gwałtu!

SCENA XIV.

Bardos, Stach i Easia (w drzewie)

Dorota i Ekonom (w jaskini). **Bryndus, Jonek,**

(więcej Krakowiaków). **Bryndus, Morgal,**

Świstos, Kwicołap (więcej Góralów).

(Górale uciekają; Krakowiacy gonią za nimi).

Górale.

Dla Boga! ratujcie!

Krakowiacy

Jonek.

Bijcie bez miłosierdzia!

Krakowiacy.

Niechaj giną!

Bardos (głosem uroczystym).

Stójcie!

(Krakowiacy dogoniwszy chwytają Góralów to za karki, to za piersi; ztąd różne formują się grupy, a gdy Bardos woła, wszyscy obracają się w tę stronę, zkąd go usłyszeli).

Krakowiacy.

A to znowu kto taki?

Jonek.

Carny, jak pokusa!

Górale.

Ach! gdyby nas obronił!

Jonek.

Zjécie paralusa!

(do Bardosa).

Kto się wazy ujmować za rabusiów sprawą?

Bardos.

Zabijać swoich braci, zkądże macie prawo?

Jonek.

Co uwazacie? kazdy niech swego morduje!

(zamierzają się)

Górale.

Gwałtu! już po nas!

Bardos.

(skacze z drzewa, zrzuca kołpak i brodę, i mówi głosem naturalnym).

Stójcie! ja wam rozkazuję.

Krakowiacy (wrzeszczą poznawszy go).

Nas skubent!

Górale (osłupiali).

Ten carownik!

Morgal.

Daz on nam bigosu!

Krakowiacy.

Jakże śmieśnie ubrany!

Bardos (zrzuca suknię).

Bartłomiej i Jonek.

Tyżeś-to Bardosu!?

(chwila powszechnego zadziwienia).

Bartłomiej.

Baśkę mi wej porwali.

Bardos.

Oni są niewinni.

Górale.

A widzicie!

Krakowiacy.

Jak-to zaś?

Bardos.

To zrobili inni.

Oni o Baśce waszój nic nie wiedzą zgoła.

Bartłomiej.

Co, oniby się wyprzód tyle mieli coła?

Jonek (z zamachem).

Nuz! gadajcie rabusie, gdzieście ją ukryli?

Krakowiacy (grożą pałkami).

Gadajcie!

Górale.

(w strachu pokazują na jaskinię).

Tu! —

Bardos (z uśmiechem).

Widzicie, że się pomylili.

Zwyczajnie człek ze strachu sam nie wie, co gada;
Niechże się teraz cała przekona gromada:

(woła).

Basiu! pokaż się!

(Baśka otwiera drzwiczki, pokazuje się zasłoniwszy sobą
Stacha.)

Wszyscy.

Baska!

Górale. •

A to co za cary?!

(Chwila zadziwienia).

Bartłomiej, Wawrzyniec, Jonek.

Cóż ona tam porabia?

Bardos.

Szuka sobie pary.

Bartłomiej.

Sama? wśród ciemnej nocy?

Jonek.

I w tym tutaj pniaku?

Bardos.

Zkąd znowu sama? Stachu! wyjdźno, nieboraku!

(Stach pokazuje się).

Wszyscy.

I Stach?

(Chwila milczenia).

Bartłomiej.

Zkąd się tam wzięli?

Bardos.

Szukali znać miodu.

Basia.

Pan Skubent nas tam ukrył.

Bardos.

Potrzebaż dowodu,
Że oni nic nie wiedzą o zdarzeniu całém?

Bartłomiej (do Stacha i Baški).

Coście wy tam robili w tém drzewie spróchniałém?

Bardos (żartując).

Może sobie zwyczajnie wyszli niebożęta
Obaczyć, jak po lesie pieszczą się ptaszęta.
Dészcz ich napadł, a oni skryli się do drzewa.

Bryndus (na stronie, do swoich).

Toz-to wykretac z niego.

Morgal.

Gęba, jak cholewa.

Świstos (na stronie).

On tak nami wszystkim, jak sewc skórą kręci.

Bartłomiej (zdziwiony).

Ja dziś tego nie pojme, co się tutaj święci.

Bardos.

Wszystko ja wam okażę jasno, jak na dłoni.

Jonek (do Bardosa).

Ale zkąd się tu wzięłeś w téj nasój pogoni?

Bardos.

Powiém ja mój przypadek, pewnie was rozczuli;
Lecz teraz nie żądajcie, bom zmókł do koszuli,
Ty, Stachu, z twoją Basią po téj tarapacie
Biegaj przodem do domu: każ nam, Panie Bracie,
Na prędce zawiesiste sporządzić śniadanie.

(cicho do Stacha i Baški).

Ja tu jeszcze tymczasem zrobię polowanie.

(wskazuje na jaskinię).

Stach (cicho do Bardosa).

Oj! głowaz-to jest, głowa, kieby Sala ona!

Basia (podobnie).

Nie nadaremnie w szkołach tak mądrze ucona!

(Stach i Basia odchodzą).

SCENA XV.

Pozostali.

Bardos (do Krakowiaków).

Teraz sami widzicie, przyjaciele mili,
 Żeście tych oto panów niesłusznie gonili;
 Bo im się o porwaniu Baški ani śniło.

(do Górali).

Wszak prawda, że tak wszystko, nie inaczej było?

Bryndus.

Sam-to djabeł i Waćpan ponoś wie najlepiej.

Mörgal (na stronie).

A kiedyż ten carownik od nas się odcepi?

Bartłomiej.

Kiedy już mamy Basię; resta dla nas fraski.

Bardos (do Góralów cicho).

Już-to drugi raz życie z mojej macie łaski.
 Przyr/eknijcież poprawę; niech żal winę zmyje.
 No jakże?

Górale (bijąc się w piersi).

Przyrzekamy.

Morgal (na stronie).

Póki widzim kije.

Bardos (głośno do Krakowiaków).

A teraz się pogódźcie! niech zginie złość wszelka!
 Być mężnym a przebaczyć jest-to cnota wielka.
 Niech z serc waszych na zawsze chęć zemsty ucieka:
 Brzydźcie się występkami, kochajcie człowieka.
 No, zgoda?

Wszyscy.

Zgoda!

Bartłomiej.

Idźma teraz do dom wspołem,
Aby się nasa zgoda stwierdziła za stołem.
(chcą isć).

Bardos (niby z nienacka spojrzawszy).
Lecz cóż tu zamykacie na kłódkę w téj skale?

Wawrzyniec (odskakując od jaskini).
Tam do carta! az tuśma zabiegli w zapale!

Bartłomiej.
Jest-to jaskinia smoka; w niéj siedzi od dawna.

Krakowiaey (cofając się).
Uciekajmy ztąd wceśnie!

Bardos (śmiejąc się).
A to rzecz zabawna!
Cóż ten więzien tam robi?

Bartłomiej.
Zajada barany,
Które kaze mu dawać wokomon kochany.
Ale ja nie ze wsystkiém wierzę w takie baje.

Bardos.
Pan Bartłomiej, jak widzę, niewiernym się staje.
Ja was jasno przekonam, że są smoki w świecie,
I zaraz go pokazę, jeżeli zechcecie.

Bartłomiej (nieco bojaźliwie).
Kiedy juz raz zamknięty, niech tam siedzi z lichem.

Bardos (z ukrytym żartem).
Nie, ja muszę tę kłódkę otworzyć wytrychem:
(dobywa klucza).

Muszę wam go pokazać.

Bryndus (na stronie).
Znowu robi zbytki.

Krakowiacy

Krakowiacy.

Ej! strasno!

Bardos.

Próżna trwoga!

Morgal.

Ach! juz mi drżą łytki!

Bardos (szykując ich).

Stójcie wszyscy spokojnie.

Krakowiacy.

A jak nas napadnie?

Bardos.

Ja w tém. Jaki-to smoczek, żaden z was nie zgodnie;
Wnet ja go tu wywołam głosem czarownicy.

(woła do jaskini pukając i drzwi otworzywszy).

Kalabarum! teraz czas!

(Ekonom powtarza to słowo wewnątrz głośno;

Krakowiacy w strachu w tył się usuwają).

Krakowiacy.

Ach! jak buhaj rycy!

Oj! strach!

Bardos (do Krakowiaków).

Cicho!

(Ekonom wyłazi z zawiązanymi oczyma, machając koło
siebie pręcikiem i pomrukując to słowo: Kalabarum!)

Wszyscy.

(bliżej przystępują i wykrzykują).

Wokomon!!

Bardos.

(w téj saméj chwili, gdy chłopci wykrzykują, zrywa mu
zawiązkę z oczu).

Już skończyłem rolę.

Przejrzyj!

Ekonom.

(sposzregłszy Bardosa przed sobą, wytrzęsacza na niego
czy i podskakuje w bok, jak oparzony).

Student! — O! wisus! jak mię wywiódł w pole!

Górale.

On nas wszystkich scarował!

Krakowiacy.

To cud niesłychany!

Bardos.

Otóż-to macie smoka, co wam jadł barany.

(Krótkie milczenie).

Bartłomiej.

Tośma jemu dawali owce do pozarcia?!

Bardos (śmiejąc się).

Nie dawajcież mu więcej, bo dostanie parcia.

Ekonom (na stronie).

Czy go djabli zesłali tu na moję szyję?

Tfu! przed całą gromadą grałem komedyję!

(stoi zawstydzony).

Bartłomiej (grożąc ekonomowi).

No, będzie on tę stucę miał u mnie na karbie.

(do Bardosa z zadziwieniem).

Ale cóż on tam robił?

Bardos (figlarnie).

Ha, siedział przy skarbie.

Bartłomiej (z większem zadziwieniem).

Przy jakim?

Bardos.

A przy waszym.

Bartłomiej.

Porzućże te baśnie.

Wszyscy (z miną zadziwienia).

To same dziwne rzeczy!

Bardos (śmiejąc się).

Zaraz wam objaśnię:

Wiédzcie, że w téj jaskini siedzi i samica. —

(wyprowadza Dorotę).

Bartłomiéj (wykrzykuje zobaczywszy ją).

Co ja widzę?

Wszyscy.

Dorota!?

Bardos.

Otóż i smoczyca!

Wszyscy.

Cud!!

(Chwila milczenia).

Jonek.

Dziś się biés rozigrał!

Ekonom (na stronie z zadziwieniem).

Tam była i ona?!

Bartłomiéj (idzie z kijem do Doroty).

No, to i ty pomagasz sprawkom Wokomona?

Poczekaj, dam ja tobie, ty przeklęty smoku!

(podnosi kij).

Bardos (wzbraniając).

Prawo uczy, by w gniewie nie spełniać wyroku;

Trzeba piérwéj posłuchać i przeciwnéj strony.

Bartłomiéj (gniewny).

Niech ją za mój wstyd jasne zabiją pioruny!

(wrywa się Bardosowi i idzie z kijem do Doroty).

Gadajze do ciornastu! co-to za kabała?

Dorota (jąkając się).

Ja — ja —

Bardos.

Złękła się biedna; może się zbłąkała.

Bartłomiej.

Ej, nie dam ja się durzyć wybiegiem zwodniczym!
Powiesz ty dziś?

(robi zamach).

Dorota.

(przysiada drżąc ze strachu, mając oczy w kij wlepione).

Przysięgam, że nie wiem o nicém.

Bardos (żartobliwie).

Gdy kobieta przysięga, któżby nie dał wiary?

Bartłomiej.

Nie ujdzie jój tą razą ta sprawka bez kary.

Bardos.

Zaraz ja wam rzecz całą wywinę, jak z płatka:

Ot, Dorota zwyczajnie, jako czuła matka,

Wyszła szukać po lesie swojej biednej córy....

Bartłomiej (z drwiącym przygryzkiem).

I wlaźła z wokomonem z rozpacy do dziury!

Bardos (śmiejąc się).

Że tam był, nie wiedziała; skryła się przed słońcą.

Otóż i po zagadce. Nie prawdaż Doroto?

Dorota.

(jąkając się spuszcza w dół oczy.)

Dyć prawda.

Bardos (na ekonoma wskazując.)

Co się tyczy tego jegomości,

Wlaźł tam sobie nieborak z samój ciekawości.

Zachciało mu się skarbu; więc jak człowiek mądry,

Ślepo i po omacku poszedł tam na plądry.

Znać, że mu w głowie piątój nie stało krokiewki,

Bo i skarbu nie dobył i stracił sakiewki.

(wstrząsa mu koło ucha pieniędzmi.)

Bartłomiej.

To rzec dla mnie za ciemna!

Krakowiacy

Bardos (pokazując worek).

Jaśniejsza od słońca.

Ekonom.

Poczekajno, hultaju, dojadę ci końca!

Bardos.

Lepiej połknąć pigułkę, i słuchać przestrogi.

Ekonom.

Dziś mi jeszcze dostaniesz ogniste hatogi!

Bardos (żartobliwie).

Oj, nic z tego nie będzie, bom szlachcic, mospanie.

Ekonom.

Każę ja ci, oszuście, dać je na dywanie.

Błoto mi skrobać będziesz w dybach na ulicy.

(odchodzi).

Krakowiacy (śmiejąc się).

A jakiz-to smok strasny!

Bartłomiój.

Jesce się indycy!

Jonek.

Ej, drwić z jego pogrózek.

Bardos.

Niech tam sobie gada.

(z nieznaczném zastósowaniem do Doroty).

Kto innym dołki kopie, zawsze sam w nie wpada.

Teraz się Bartłomiejju, pojednajcie z żoną;

Przez wasz zapęd niewinnie była pokrzywdzoną.

Bartłomiój (z przygryzkiem).

Trzeba téj niewinności dochodzić nam jesce;

Lec tu ani cas na to, ani téz i miejsce.

Bardos (z żartobliwém podziwieniem.)

Widzicie, jak tam stoi niewinny baranek.

Bartłomiej.

Zwyczajnie, zjadł kot mléko!... Otóz i poranek.
Powracajmy do domu; juz jest cas po temu,
Lec wprzódy podziękujma Łaskawcy nasemu,
(ściska rękę Bardosowi.)

Jonek (podobnie.)

Dziękujema ci wszyscy.

Krakowiacy.

Tak, wsycy serdecnie!

Jonek.

Musis z nami, Bardosu, powrócić koniecznie!
Nie dbaj na Wokonoma; jest na niego klatka:
(pokazuje na jaskinię.)

Gdyby się chciał odezwać, smok mu gębę zatka.

Bartłomiej.

Taki człowiek uciwy, tak mądry w poradzie,
Więcej jest, niz Wokonom, potrzebny gromadzie.
Mógłbyś nas uszczęśliwić.

Bardos.

Gdy tak rozumiécie,
Z dusy z wami zostanę całe moje życie.
Niech dziś wszelkich zatargów będą już ostatki;
Pomnijcie, że jesteście dzieci jednéj matki!

Ś p i e w k a.

Kiedy dzieci z sobą w zwadzie,
Ileż matkę klęsk ugodzi!
Cały domek jest w nieładzie,
Któz go strzeże, kto ogrodzi?...

Runąć musi bez podpory!
Wszędzie przestrah i ruina!
Wiley włożą na obory, —
W świat rozbiega się rodzina!

Zyściez odtąd z sobą w zgodzie,
Niech was łączą serc ogniwa!
Niema szczęścia w tym narodzie,
Gdzie się taki związek zrywa!

Krakowiacy i Górale.

Zyjmy zawse z sobą w zgodzie,
Niech nas łączą serc ogniwa!
Niema szczęścia w tym narodzie,
Gdzie się taki związek zrywa!

(odchodzą).

A K T III.

(Teatr wystawia wieś, jak w pierwszym akcie).

SCENA I.

Zosia (sama).

Próżno na wszystkie strony spoglądam ocyma;
Juz się słońce podniosło, Baśki jesce niéma.
Jeżli jój nie odbiją, będzie nieszczęśliwa.
Kto sływał kraść dziewczynę, kieby owcę z chlęwa!
Bryndusa w tém sprawecka; on-to niezawodnie,
Cego nie mógł prośbami, chciał dopiąć przez zbrodnie.
Mówią, ze nie przystoi zawziętość niewieście,
Ja mu przecie kijonek dałabym ze dwieście.
Cy osalał chłopisko chceć gwałtem kochania?
Jakby-to serce było towar do sprzedania.

Ś p i e w k a

Serce nie sługa, nie zna co-to pany;
Nie da się okuć przemocą w kajdany.
Miłością żyje, w niej suka rozkosy,
Bez niej usycha, jak róża bez rosy.
Śpiewa w klatecce więziona ptasyna,
Ze była wolną sobie przypomina;
A choć jój ptaśnik daje dość żywności,
Jednak przez sceble wzdycha do wolności!

(patrzy za kulisę).

Cy mi się tak wydaje, lub coś widzę zdala?....

(śmieje się).

Ach! to pono figura nasego brzuchała..

Ale cegóz tak śpiesno leci ta baryła,

Jak gdyby, Boże odpuść, śmierć za nim goniła!...

Moze mi wej przyniesie wiadomość o Basi;

Przynajmniej, ze mi powie, gdzie się bawią nasi.

Albo, gdzie téz Dorota do téj pory siedzi?

SCENA II.

Zosia, Miechodmuch.

(wbiega zadyszana).

Zosia.

Co-to wam?

Miechodmuch.

Uf!

Zosia.

Mówciez!

Miechodmuch.

Uf!

Zosia.

Ja chcę odpowiedzi.

Miechodmuch.

Uf!

Zosia.

Cyście oniemieli?

Miechodmuch.

(ledwie mogąc mówić wskazuje na stół).

Podaj mi stołeczek.

Zosia.

(podaje mu stołek; on siadając bierze ją za rękę i przykłada do piersi).

Miechodmucha.

Patrz, jak mi serce puka

Zosia (śmieje się).

Kieby wej młotecek!

Miechodmucha.

Śmiej się, śmiej, jak salona. Iec to nie są chychy:
Juz po nasój Dorocie; módl się za jój grzechy.

Zosia (przestraszona).

Co się stało?

Miechodmucha.

Smocysko w lesie ją przydusił:
Połknął, kieby kluseckę, ani się zakrzusił;

Zosia (z niedowierzaniem).

Ej, co wy dziś bajecie, to trudna do wiary.

Miechodmucha (z zapewnieniem).

Połknął ją! i co żywo wlaź do swój piecary!

Zosia.

Samześ widział?

Miechodmucha.

Ba! takim ja nie jestem zuchem;
Alem dopiero gadał z tutejsym pastuchem.
On widział to strasydło na swe własne ocy;
Mówił, ze mu się wogon we dwa kłęby tocy;
Z przodu jest, kieby niedźwiedz; z tyłu jak gadzina;
Zębami, kiedy utnie, jak brzytwą rozcina;
Łuska, niby u karpia; jak u wilka łapa,
(tonem największego podziwienia).

A co jest najdziwniejsa, broda jak u capa!

Zosia.

Ale cóż tam Dorota robiła u kata?

Krakowiacy

Miechodmuch.

Chciała wysukać Stacha, i posła ze świata.
Pastuch mówił: raz tylko kwiknęła nieboska;
Smok zaś ryknął, jak buhaj, i zamrucał troska.

Zosia.

Może was pastuch próznym nabawił kłopotem;
Pójdźma wej ku lasowi, dowiema się o tém.

(ciągnie go).

Miechodmuch (tchórzowato ociąga się).

Co? ja mam pójść do lasu? a! to boska kara!
A jeżeli nas oboje pozre ta pocwara?

Zosia.

Pójdźcie, nic nam nie zrobi.

(ciągnie go).

Miechodmuch.

Cart jój tam zaufa.

Zosia (ciągnąc go mocniej).

Ej, wy się toycie kieby z wódką kufa!
Pójdziema tam na wzgórek, jak nase jezioro;
Może kogo zobacem.

(ciągnie go).

Alez pójdźcie skoro!

Miechodmuch.

Cy mi lichu przyniosło na kark tę hultajkę,
Ot, ciągnie mnie za sobą, kieby taradajkę!

SCENA III.

(Gdy Zosia Miechodmucha za kulisy ciągnie, wchodzi
Stach i Basia).

Zosia (wykrzykuje).

Bozel... co widzę?... Basia!

Basia.

Ach, Zosieńku luba!

(Uściskanie).

Miechodmucha (zdziwiony).

Gloria in excelsis! wróciła się zguba!

Stach,

Dzień dobry, Miechodmuchu!

Miechodmucha.

Witaj, Stanisławie!

(dają sobie ręce).

Zosia (w najwyższej radości).

Przecie do nas powracasz!

Basia.

A to cudem prawie.

(Uściskanie).

Miechodmucha.

Któż ją porwał? kto znalazł? gadajcie, dla Boga!

Basia.

Juzbym na zawse była zginęła, nieboga,
Gdyby nie Bardos.

Zosia, Miechodmucha.

Bardos? cy i on był z wami?

Stach.

On-to ją oswobodził swojemi figlami.
Zaraz tu wszyscy przyjdą; nas przodem wysłali;
Zdziwicie się, gdy z nimi ujrzycie Górali.

Zosia i Miechodmucha.

Górali?

Stach.

Z nich-to posło całe zemiesanie.
Ale idźma, Basienku, sporządzić śniadanie.

(chcą iść).

Miechodmucha (zatrzymuje odchodzących).

A wiecie, ze Bartkowej smok sprawił rekwije?

Stach (z uśmiechem).

Nigdy nie zje smok smoka; jescze babsko zyje.

(odchodzą do młyna).

Zosia i Miechodmucha (zdziwieni).

Zosia (po chwili milczenia).

Bardos z Bašką wracają?

Miechodmucha.

A Bartkowa zywa!

Zosia.

I Bryndus z Góralami powtórnie przybywa?

Nie, tego ja nie pojme.

(odchodzi).

Miechodmucha.

A ja bardziej jescel!

Pójdę do nasych kobiet, wszystko im obwiesce.

Pewnie śpią jak zabite, zalazłsya gdzie w kąty;

Bo przez całą noc ze mną odprawiady ronty.

(śmiejąc się).

Niéma co mówić, łebscy z nas byli straznicy,

Wrzesceliśma po wiosce, jak zydzi w bóżnicy.

(odchodzi).

SCENA IV.

Bardos i Jonek.

Bardos (z uśmiechem).

Co mówisz na te czary i wszystkie straszydła?

Jonek (śmiejąc się).

Ze Waćpan płosys cartów nawet bez kropidla,

Bardos.

Jak sądzisz, co Dorota porabiała w lesie?

Jonek.

Ot, gdzie djabeł nie zmoze, tam babę zamiesie!

Ja uwazam, ze ona chce się zbyć dziewuchy,

Aby mogła Stasićka namówić do skruchy.

Onać się z tém ukrywa; alem ja bywalski,

I wiem, ze za nim wzdycha, kieby miech kowalski.

Ś p i e w k a.

Miłość jest jakaś moc skryta,

Jakieś tajemne ządanie,

Które za serce tak chwyta,

Ze cłek gorącki dostanie.

Często z jednego spojrzenia

Iskra paląca wyskoczy;

Nie trzeba stali, krzemienia:

Wnet ogień wykrzeszą ocy.

Ten ogień bardziej wybucha,

I więkse miewa podniety,

Gdy go pokusa rozdmucha

W sereu swawolnej kobiety.

Choć nie dbas na jój kochanie,

Ona się tém więcej łasi;

Cłek płomień gasi i gasi...

Nareście wody nie stanie.

SCENA V.

Bardos, Jonek, Krakowiaczy i Górale.

Bartłomiěj.

Juześma i na miejscu; będziem Panom radzi,

Krakowiacy

Idź, zono, zajrzyj trochę do naséj celadzi,
Niech nam przekąsić dadzą.

Górale.

Dziękujem za grzeczność.

Bryndus.

My zaraz odpłyniema.

Bartłomiéj.

Do cegóz ta sprzeczność?

Krakowiacy.

Podjécie sobie pierwéj.

Bardos.

Zostaną, i kwita!

Bartłomiéj.

Idź, zono!

(Gdy Dorota chce wejść do młyna, Słach drzwi otwiera.
Ona go ujrzawszy wrzeszczy na całe gardło, jak gdyby
ducha zoczyła).

Dorota.

Ach!

Bartłomiéj.

(obracając się ku drzwiom młyna).

A cegóz wrzescy ta kobiéta?

Bardos.

(z uśmiechem do Bartłomieja).

Zapewne jéj przez nogę przeskoczyła żaba.

Bartłomiéj.

Tfu! bać się takiéj fraski, osalała baba!

S C E N A VI.

Ciż sami, Stach, Basia i Zosia.

Stach.

Prosim na kielich wódki i kawałek chleba.

Dorota.

(ciągnąc Bardosa na stronę, mówi z docinkiem).

Cośś Waćpan dusyckę prędko wrócił z nieba.

Bardos.

Że Stasio dla was umarł, sami to poznacie.

Bartłomiej (zapraszając).

Pójdźma, bo juz śniadanie ceka na nas w chacie.

Bardos.

Służymy wam z ochotą, panie Bartłomieju.

S C E N A VII.

Ci sami, Ekonom i Administrator.

(ubrany smakownie po polsku).

Ekonom.

Oto jest ten sam hultaj, Mości Dobrodzieju!

(trzyma kapelusz w rękach).

Wszyscy.

Ach, ktoś tu do nas idzie!

Krakowiacy.

Jakiś Pan Wielmożny!

Basia i Zosia.

Nowa zapewne bięda!

Bardos.

Porzućcie strach próżny!

(Wszyscy się kupią na jednej stronie).

Krakowiacy

Administrator (wskazując na Bardosa).

Więc to jest, mówisz Waćpan, homo quaestionis?

(Ekonom potwierdza przez gesta, i rozmawia z nim po cichu, często mu się kłaniając).

Basia (do Bardosa).

Na ciebie instyguje.

Zosia.

Cémże się obronis?

Bardos.

Czém? prawdą i słusnością.

Krakowiacy.

My będziemy za tobą!

Basia.

Widzisz, jak tam sachruje z Wielmożną osobą.

Bartłomiej.

Nadaremnie się nowych wykretów spodziéwa,
Prawda zawsze wyjść musi na wierzch, jak oliwa.

Jonek (do Bartłomieja z cicha).

Lec ktoby-to był?

Bartłomiej.

Moze komisarz nowotny.

Basia.

Byle go wej nie popsuł wokomon przewrotny!

Administrator.

(występuje i mówi głośno).

Proszę oświadczyć gminie zlecenia ex Foro.

(daje ekonomowi papier).

Ekonom

(z którego miny poznać, że jest na kmiotków i Bardosa
gniewny).

Uciszcie się! co powiem, słuchajcie z pokorą!

Bardos.

(który się ciągle przypatruje administratorowi, mówi na stronie).

Muszę mu się dokładniej przypatrzeć w bliskości;
Podobno znałem w szkołach tego Jegomości.

Ekonom (czyta).

„Ponieważ klucz Mogiła na mocy wyroku
„Zapadłego w dniach sierpnia bieżącego roku :
„Do nowego już odtąd należy dziedzica :
„A przeto sąd niniejszemu surowo zaleca,
„Ażeby cała gmina, zapisana w księgę,
„Na poddaństwo niezwłocznie złożyła przysięgę.“
Tyle jest słów Zwierzchności. - Reszty przyzwoicie
Jeszcze dzisiaj na miejscu w dworze się dowiecie.
Lecz nim nowego pana uściskacie stopy,
Padnijcie do nóg wprzódki temu Panu, chłopcy!
On jest naszym Wielmożnym administratorem.

Administrator.

(z miną dumną, ale bez przesady).

Słyszałem tu, że wojnę toczycie ze dworem,
I że was jakiś człowiek do buntu podżega,
Którego wszyscy mają za łotra i szpiega?

Bardos (na stronie).

Ślicznie mię odmalował!

Krakowiacy (razem krzycząc).

To jest cłek pociwy,
Tylko go tak opisał wokomon złośliwy!

Administrator.

Cicho! — Któż tu dojsć zdoła prawdy w takim gwarze?
Posłuszeństwo!

(Ekonom stoi w tyle i grozi kańczukiem).

Niesfornych natychmiast ukarzę!

(do Bardosa).

Zkądś, i co za jeden?

Bardos.

(przystąpiwszy bliżej, mówi na stronie).

Tak, ja się nie myłę.

Administrator.

Będziesz Waśc odpowiadał? Co robisz w Mogile?

Bardos (z grzecznością).

Jeżeli nie urażę pytaniem Łaskawcę,
Podobnośmy siedzieli w szkołach w jednej ławce.
Wszak mię pamięć nie zwodzi: Pysznicki Ignacy?

Administrator.

(spojrzawszy na niego, odpowiada z pogardą).

Do publicznych szkół często chodzą i żebracy.
Może w nich i Waśc byłeś, ale ja nie pomnę.
(przechadza się).

Bardos (tém tknięty).

Przystoiż ta odpowiedź na pytanie skromne?

(na stronie).

Zaraz go poznać można, że wyszedł z palestry
Zadzięra nos do góry, tuczają go sekwestry.

(głośno i grzecznie).

Byliśmy niegdyś sobie ściśli przyjaciele.

Administrator (urażony).

Nielubię, aby ze mną rozmawiano wiele.

Musisz Waśc być włóczęga... Czy masz zaświadczenia?

Bardos.

Proszę badać surowo, lecz bez upodlenia.

Nie dam ja się pokrzywdzić, bo znam, co są jura.

Ekonom.

Tak, w głowie bogactw pełno, lecz w kieszeni dziura!

Bardos.

Lepiejbyś Waszcę milczał, kiedy jesteś głupi.

Ekonom (grożąc).

Co się jeszcze nie zmęło!...

Bardos (dobitnie).

To się tobie skrupi!

(Wyjmuje papiéry i daje administratorowi z powagą).
W tych papiérach za sobą mam dosyć dowodu,
Jakim jestem człowiekiem i z jakiego rodu.

Administrator.

(czyta pomieszany, i spoziéra na Bardosa).

Ekonom (na stronie).

Coś na niego spoziéra, to nie bez kozéry;
Pewniusienko ten hultaj podskrobał papiéry.

Administrator.

Co?... czy podobna?

Ekonom (na stronie).

Aha! już ptaszek złapany!
Przecie go, jakim przyrzekł, okuje w kajdany.

Administrator (grzeczniejszy).

Jak się Waćpan nazywasz?

Bardos (z powagą).

Cnotliwski Jacenty.

Administrator.

(coraz bardziej zdziwiony, pomieszany i zawstydzony).

Pieczęć?

Cnotliwski.

Tułów pohańca pałaszem przecięty.

Administrator.

Imię stryja Waćpana?

Cnotliwski.

Jan.

Administrator (na stronie).

On bez wątpienia.

(głośno).

Godność?

Cnotliwski.

Jest Kanonkiem.

Ekonom (na stronie).

Żże bez zająknienia!

Administrator.

Wszakże Waćpana w szkołach każdy zwał Bardosem?

Cnotliwski.

Będąc upośledzony niefortunnym losem,
Ażebym się nie stawał stryjowi zakałem,
Umyślnie to nazwisko do czasu przybrałem.

Administrator (na stronie).

Do kata!... z jakim teraz pokazać się licem?

(głośno).

Winszuję! Waćpan jesteś tych włości dziedzicem!

Cnotliwski (jak piorunem uderzony).

Co?

Ekonom (bierze się za głowę).

Au! gwałtu!

Wszyscy (z radosnym zadziwieniem).

Dla Boga!

Administrator.

(coraz bardziej grzeczniejszy).

Już od trzech tygodni

Wzywają Go publicznie.

Ekonom.

Któż to udowodni?

Administrator.

Wszak to samo wezwanie po wszystkich wsiach biega.

Ekonom.

Ba! to są listy gończe szukające zbiega.

Administrator (z uśmiechem).

Owszem, Sąd główny wzywał treścią okólnika,
By się stawił Cnotliwski, krewny kanonika,
Którym jest sam Jegomość.

Ekonom (na stronie).

Zarznął mię bez noża!

Cnotliwski.

We śnież-to, czy na jawie?

Ekonom.

A to kara boża!

Cnotliwski.

Ja? tych włości dziedzicem? wszakże są klasztorne.

Administrator.

Były niemi aż dotąd przez procesa sporne,
Lecz stryj Waćpana broniąc praw swych doskonale,
Tę majątność in pleno wygrał w Trybunale,
I Waćpana dziedzicem obrał w testamencie.

Cnotliwski (tém uderzony).

Mój stryj umarł?

Administrator.

Nie żyje.

Cnotliwski.

O! Boże!

Ekonom.

Przekłęcie!

Administrator.

(dając papier Cnotliwskiemu).

Ten wyrok Trybunału bardziej Go przekona.

(na stronie).

Fortuna zawsze będzie ślepa i szalona!

Bartłomiej (spieszno i pełen radości).

Biegajcie, niech się żywo cała wioska schodzi!

Jonek.

Niech biegną jak najprędzej i starzy i młodzi!

(Kilku Krakowiaków odbiega; reszta stoi w radosnym zachwyceniu).

Cnotliwski.

(prze czytawszy papier mówi do siebie rozrzewniony).
Już cię tedy straciłem, Stryju ukochany!..
Ta strata sercu memu zada wieczne rany!

Morgal (do Bryndusa cicho).

Wsak mówiłem, że musi mieć sprawę z satanem:
Pewnie mu się zapisał, by go zrobił panem.

Cnotliwski.

(weselszy, mówiąc na stronie).

Otóż mamy przemianę z ksiąg Owidyusza!
W jednej chwili zostałem panem z chudeusza.

(do Administratora).

Czy Waćpan jeszcze widzisz zbiega w mój osobie?

Administrator (zawstydzony).

I owszem... Oto właśnie... Przypominam sobie.

(ściskając go).

Mój drogi przyjacielu!.. teraz cię poznaję!

Cnotliwski (z uśmiechem na stronie).

Jak-to zaraz los lepszy i przyjaciół daje!

(do Krakowiaków, którzy od chwili, jak Bardos został
panem, stali z uszanowaniem w oddaleniu).

Przystąpcie do mnie bliżej, szczerzy przyjaciele!

(Krakowiacy zbliżają się, on staje między nimi, i mówi
z czułością).

Że wy nimi jesteście, mogę wyznać śmie!e!

Wyście mi dali pomoc, przytułek w potrzebie;

Gdybym o was zapomniał, znieważyłbym siebie.

Raczież przyjąć odemnie cokolwiek, me dziatki:

Wszystkie wam na lat cztery daruję podatki.

Krakowiacy.

Wiwat nas Dziedzic!

Bartłomiej.

Panie! prosima jedynie,

Abyś nas zawse kochał!

Cnotliwski.

(rozczulony, biorąc go za rękę).

Z duszy to uczynię.

Uszczęśliwiać się będziem wzajemną miłością,
I na dowód obdarzam was wszystkich wolnością.

Krakowiacy (klękają).

My chcemy umrzeć, Panie, jak twoi poddani!

Cnotliwski (podnosząc ich).

Żyćcie, jak moi bracia, wolni i kochani!

Administrator.

(którego to nudzi, zacięra ręce).

Jest-to czyn rzadki w świecie, oraz i chwalebny...

Lecz gdy się dziedzic znalazł, jam tu niepotrzebny.

Racz więc Waćpan Dobrodziej stawić się do gródu,

Abyś dla formalności, niemniej i dowodu,

Złożył personaliter swoje dokumenta.

We mnie najgorliwszego znajdziesz tam agenta.

A teraz się polecam łasce i pamięci.

(odechodzi).

Cnotliwski.

Sługa!... No, dziatki, jakże? przyjmiecie me chęci?

Bartłomiej.

Ach! nadto doznajema, Panie, twej scodrości!

Cnotliwski.

(bez gniewu, więcej żartobliwie).

No, jak tam z nami będzie, Panie Podstarości?

Czy jeszcze tkwi zawziętość ku mnie w twojém sercu?

Kiedyż owe batogi wezmę na kobiercu?

Ekonom.

(kryje kańczuk pod kurtkę i pada do nóg plackiem).

Mea culpa! zgrzeszyłem! lecz któż o tém wiedział,
Że w tak biédnym człowieku tak wielki pan siedział?

Cnotliwski.

Abym i tobie jakąś dał nagrodę przecie,

Wypadłoby te plagi liczyć na twym grzbiecie.

Krakowiacy

Jonek.

A ja mu wej z ochotą posłużę za družbę.

Cnotliwski.

Wstań; dosyć będzie kary, że utracisz służbę.

Ekonom.

Ach, Panie Dobrodzieju, przyrzekam poprawę.

Cnotliwski.

Kto biędnych uciemęza, cudzą szarpie sławę,
 Kto na widok nieszczęsnych kamiennę jest duszy,
 Takiego okrutnika nie wiem, czy żal skruszy.
 Jednak, by dziś do smutku nikt nie miał przyczyny,
 W nadziei twęj poprawy, odpuszczam ci winy,
 I wszystko, co się stało, biorę pod zasłonę.
 (Ekonom okazuje wdzięczność).

S C E N A VIII.

Ci sami, oprócz Administratora.

Miechodmuch.

(na czele kobiet i dzieci, niesie na tacy chustką okrytęj
 sól i duży bochen chleba).

Tylko za mną! Prec z drogi! Ustąpcie na stronę!

(stawa przed Cnotliwskim).

Usłysawsy ten strasny harmider i kweres,
 Ze Wielmożny Pan Student jest nas pan i haeres,
 Zebrawszy gospodynie, panny i babięta,
 Te niewinne pędracki, te małe cieleęta,
 Jako najpięrszy sęga przy tutejsęj farze,
 Przynoszę chléb ze w solą solennęj ofiarze.
 Rac to przyjąć na Twoję dziś installacyą,
 I pozwól, niech Ci wyrznę ślicną oracyją:
 (krząka i zabiera się do mowy).

Jak, gdy gwiazdy nie świecą, na dworze jest ciemno!
 Jak, gdy słońko nie grzeje, ludziom nieprzyjemno!
 Jak — trudno wyżyć z fary, kiedy niema cudów!
 Jak — bez kalikowania głos nie wyjdzie z dudów!
 Jak — być zdrowym bez miodku jest prózna nadzieja:
 Tak — bez dobrego pana, ojca, dobrodzieja,
 Niema..... niema.....

(jąka się i nie wie, co powiedzieć).

oj! niema!... radości, pociechy...

Cnotliwski.

Przestań Waćpan, bo możesz popsuć sobie miechy.
 Dziękuję! Pomnę o tém, byś na twym urzędzie
 Większego dostał brzuszka, choć cudów nie będzie.

Miechodmuch.

Zyj nam w najdłuższe lata, nas Panie wspaniały!
 A krzyczciez baby: wiwat!

(do chłopców).

Nuz! i wy, cymbały!

Kobiety i Dzieci (wrzeszczą).

Wiwat!

Cnotliwski.

A teraz pójdźmy oddać się radości!
 Ale jeszcze tu piérwój w mojej przytomności
 Ty, Stachu, z twoją Basią spełńcie śluby wasze!

(Stach z Baską uklękają; on ich połączy, i podnosi).
 Widzisz, Basiu, że umiem być wdzięcznym za kaszę.

Basia i Stach.

Ach! Panie dobrotliwy!

Cnotliwski.

Dziś będzie wesele!

Miechodmuch.

A ja „Veni creator“ huknę im w kościele!

Cnotliwski (do Basi i Stacha).

Aby zaś szczęście wasze trwało nieprzerwanie,
Pośle was stąd do innéj wioski na mieszkanie.

(spojrzawszy na Dorotę).

Przez to znikną na zawsze miłostek nadzieje;
Bo jak mówią: w popiele ogień długo tleje.
Ty zaś, Panie Bryndusie, odbierz twe talary;

(oddaje mu).

Ich przeznaczenie z mojej zastąpię ofiary.
Chciéj zostać z twoją bracią u nas na zabawie,
Którą dziś dla was wszystkich mym kosztem wyprawię.

Basia i Stach (w radości).

Cémże się wypłacimy?

Wszyscy.

Wiwat Pan łaskawy!

Cnotliwski.

Niech nam zgoda i radość zastawią potrawy!

S p i é w k i

Dorota.

Dajcie przykład, zacne matki:

Nie bądźcie płochemi;

Uccie kochać wasze dziatki

Cnotę polskiej ziemi.

W tém sukajcie swojej chwały,

W tém rozkos w siwiznie,

Aby z wasém mlékiem ssały

Miłość ku ojczyźnie.

Basia.

Trzy mogiły w naséj stronie

Wznosą się do nieba:

Kazda przykład ma w swém łonie,

Jak kraj kochać trzeba.

Gdy je Polak ujrzy okiem,
Zaraz męstwem spłonie;
Pójdzie walcyć śmiałym krokiem
W ojczyzny obronie.

Bartłomiej.

Sławną była ta kraina
Z bohaterów wielu;
Kazdy kamień to wspomina
Na wzniosłym Wawelu.
Drogie dla nas ich świątynie,
Sanowne siedliska;
Sama Wisła nim odpłynie,
Wprzódzy je uściska.

Bryndus.

Wspólną chwałę Tatry miały,
I dotąd nią słyną;
Na ich scytach orzeł biały
Cuwał nad krainą.
Cęsto z nasych gór przestworza
Polski piorun błysnął.
Leciał pogrom az na morza,
Gdy Król mężny cisnął.

Stach.

Sława nasa az obłoki
Przebijała cołem;
Jednak runął słup wysoki
Niezdgodny zywołem.
A to światu jest dowodem,
Ze kraj świetność traci,
Gdy nie trzyma Król z narodem,
Bracia gubią braci.

Jonek.

Póki czcono to przymierze:

„Co nie twego, wara! “
 Kazdy wtencas porósł w pierze,
 Był spokój i wiara.
 Teraz te się cnoty gubią,
 Świat grzesy do woli;
 Wsycy się nawzajem skubią,
 I wsycy są goli.

Miechodmuchi.

W złych się bardzo casach zyje,
 Nikt nas juz nie darzy;
 Chude teraz plebanije,
 Niéma kanafarzy!
 Wstrząsać puską nie pomoze,
 Kazdy na to głuchy;
 Umrzec nie chce nikt, broń Boze,
 Pochudną nam brzuchy!

Cnotliwski.

Nie przestańcie wy, uczeni,
 Siał ziarna mądrości!
 Choć się teraz nie rozpleni,
 Zejdzie w potomości.
 Nie budujecie dla swój chwały,
 Jak inni śmiertelni:
 Niechaj będzie naród cały
 Celem waszój kielni!

Śpiew ogólny.

Niech miłość, zgoda, męstwo i chwała
 Będą warownią nasój swobody!
 Gdy nas zastoni takich cnót skała,
 Musą się rozbić wszelkie przygody!

Kobiety.

W szczęściu i biędzie bądźmy cnotliwi!

Mężczyźni.

Niech nasa stałość cały świat zadziwi!

Kobięty.

Choć burze, wichry zniszczą zagony,

Mężczyźni.

Bądźmy wytrwali! wróć się plony!

K O N I E C.

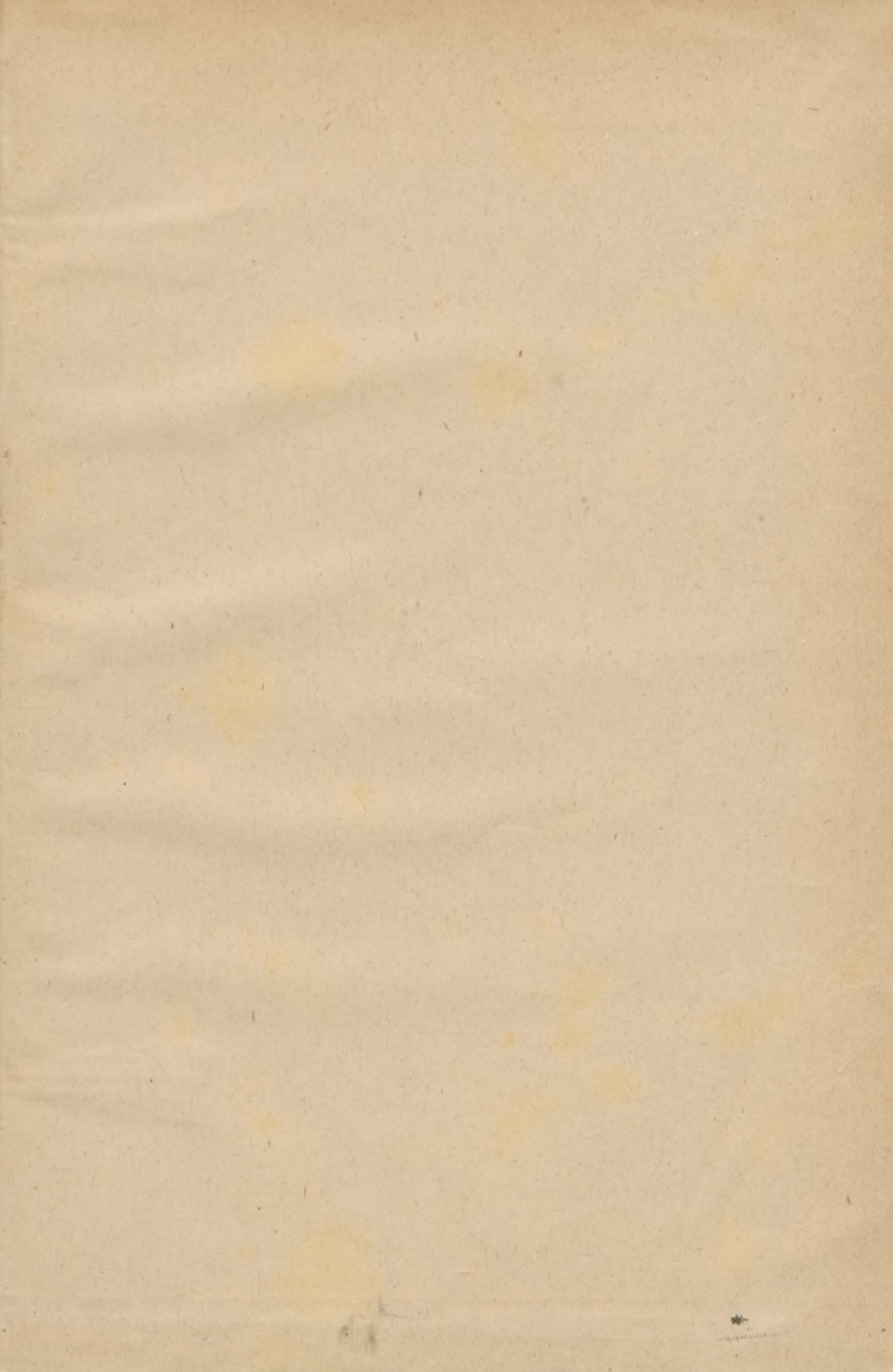


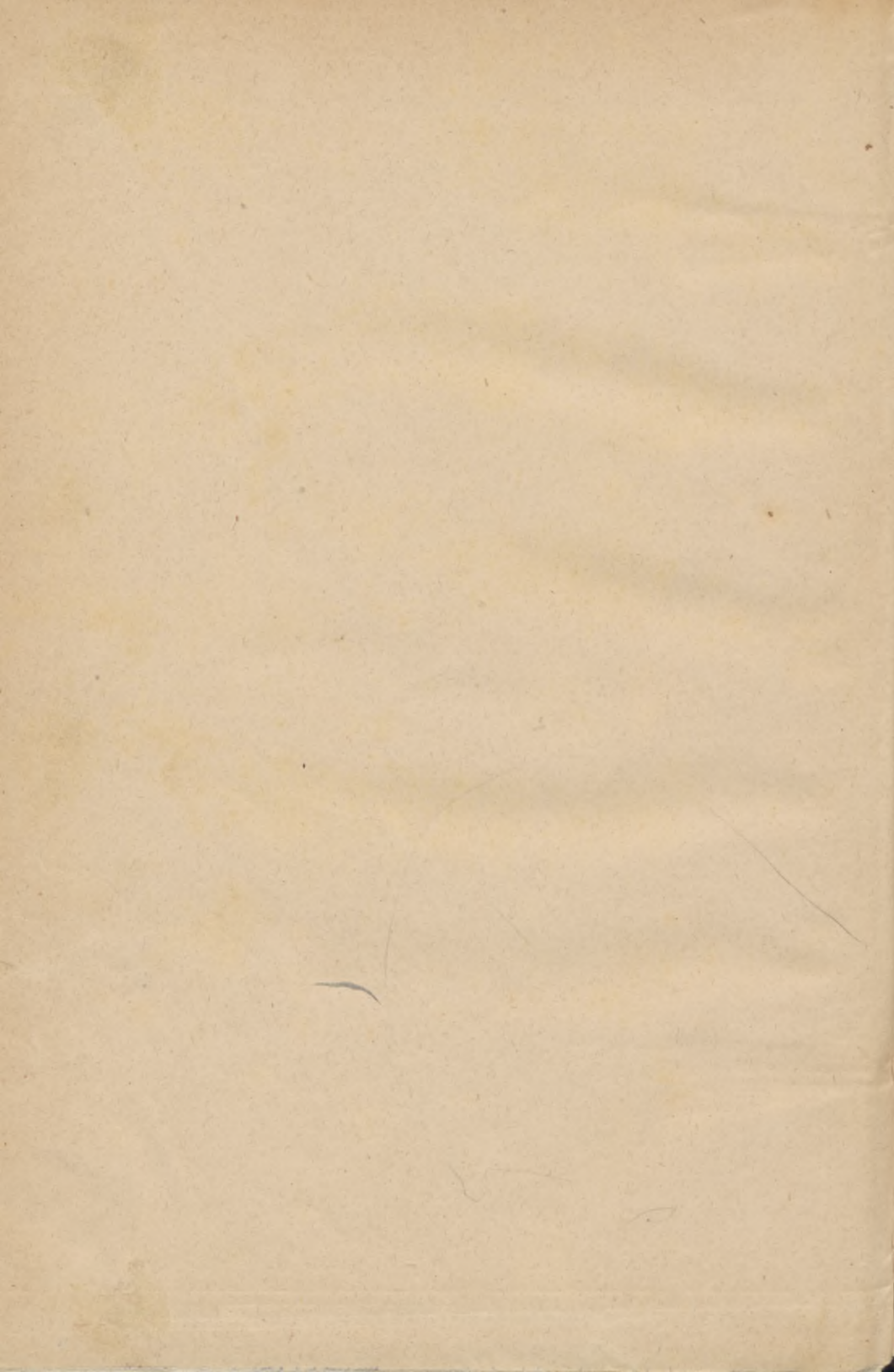
Kobiety
 Ciepły wiatry wiozący zagonę...
 Mieczysław...
 Północny wiatr walił w drzwi...

K O R E K T A
 ...
 ...
 ...

...
 ...
 ...
 ...
 ...

...
 ...
 ...
 ...
 ...





60-

110523

92.11.81

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

88362

Biblioteka WSP Kielce



0169077